

czas. 12442 / 2 / 40

**CENA 50 GR.**

**ROK II. NR. 40 (53)**

**WARSZAWA**

**SOBOTA**

**6-X-1934 R.**

# PION

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

BOGDAN SUCHODOLSKI

### ZWYCIĘSTWO WYCHOWANIA

Istnieje wiele prób określenia na czym polega istota wychowania i jakie jest jego znaczenie dla jednostki i zbiorowości. W ostatnich czasach największe uznanie zyskują takie określenia, które łączą wychowanie z kulturą, przekonywując, iż wychowanie przenosi kulturę z pokolenia starszego na dorastające i przyczynia się w ten sposób, zarówno do rozwinięcia w jednostkach pełni człowieczeństwa, jak i do zachowania i utrwalenia dorobku kulturalnego przeszłości. Stanowisko to pociąga poważne konsekwencje.

Przedewszystkiem wychowanie przestaje być zabiegiem, stosowanym wyłącznie do młodzieży. Skoro bowiem ma ono być identyczne z przejmowaniem w siebie kultury, stworzonej przez dawniejsze pokolenia, to jest rzeczą oczywistą, iż dokonywać się może i powinno w ciągu całego życia ludzkiego. J. Dewey poddał druzgocącej krytyce te wszystkie rozpowszechnione jeszcze mniemania, według których wychowanie polega na osiągnięciu pewnego wyznaczonego zgóry poziomu umiejętności i sprawności. Człowiek, który od chwili osiągnięcia tego poziomu, staje się zupełnie zbędny. Bo przecież żaden dyplom nie może zakończyć wychowania, które polega na wewnętrznym rozwoju człowieka. Trwa ono tak długo, dopóki zachowujemy żywotność naszej osobowości. Wszakże wciąż w życiu wchodzimy w nowe sytuacje i w nowych działaniach wyprobowujemy nasze siły. Stajemy się coraz bardziej dojrzałymi i coraz to nowym spojrzeniem obejmujemy świat. Póki żyjemy, zmieniają się nasze upodobania, coraz to inne braki ujawniają się w naszym działaniu, coraz to nowych sprawności nabieramy i cała ta wewnętrzna żywotność jest materialem ciągłego wychowywania się. Nie można w ciągu pierwszych dwudziestu lat życia, poświęconych wychowywaniu się i uczeniu w tradycyjnym pojęciu tych słów, nagromadzić w sobie „na zapas” rzech wszystkich cech, które w dalszym i nieprzewidzianym życiu będą nam potrzebne. W przyszłych sytuacjach będziemy musieli wychowywać się na nowo. Jeśli tego nie uczynimy to nasze życie wewnętrzne zagubi się w rutynie i straci żywotność. W wychowaniu przeto nie można „oszczędzać”, nie można „odkładać”, nie można żyć z kapitału. Jest to właśnie najbardziej demokratyczny cecha wychowania a zarazem najbardziej znieprawiona przez psychiki rentjerskie.

Takie pojęcie wychowania przeciwstawia się również przyzwyczajaniu do traktowania pewnych okresów w naszym życiu jako podbudowy dla innych, późniejszych okresów życia. W rzeczywistości bowiem każdy okres ma swoje własne prawa i obowiązki. I podobnie, jak godzimy się już z tem, iż szkoła powszechna nie jest podbudową dla szkoły średniej, a szkoła średnia dla szkoły wyższej, ale że każda z nich spełnia samoistne zadania wychowawcze, podobnie powinniśmy zrozumieć, iż nie można rozłamywać życia ludzkiego na okres przygotowania i okres użytkowania. Uznanie samoistnego znaczenia poszczególnych faz naszego życia zmusza do surowszej oceny samych siebie w każdym okresie, ponieważ żaden nie jest tylko przygotowaniem i, skoro przemienie, nie już nie odrobi jego błędów i braków. I jako dziecko, i jako dojrzewający chłopiec, i jako młodzieniec, i w

wieku męskim, i w starości — zawsze trzeba żyć tak, jak na tym poziomie można najgłębiej i najlepiej, wykorzystując w pełni możliwości każdego czasu. I w każdej chwili życia trzeba mieć sobie powiedzieć: *jestem, a nie tylko: przygotowyję się, abym kiedyś był.*

Sprawa ta ma również swe oblicze społeczne. Coraz częściej upatruje się istotę naszej cywilizacji w zmienności. Epoki poprzednie nie znały tylu raptownych przemian, co nasza. Jak ustabilizowanym był świat, nie tylko dla jednego pokolenia, ale i w ciągu wieków, uświadomić to sobie można zwłaszcza, iż list Cezara wysłany do Paryża potrzebowałby tyle samo czasu, co list Napoleona pisany z Paryża do Rzymu. Dziś zaś w ciągu kilku lat, przeżywamy nieoczekiwane przemiany a stabilizacja we wszelkich dziedzinach należy do legend złotego wieku. Zmieniają się pojęcia polityczne, normy moralne, urządzenia techniczne. Jutro nie będzie podobne do wczoraj. W tych warunkach człowiek musi wciąż zachowywać elastyczność swej osobowości t. zn. żywotną gotowość reagowania na zmiany, przystosowywania się do zmieniających się warunków, twórczego działania w nieprzewidzianych okolicznościach. Jednostka wychowana statycznie, przekonana, iż już ukończyła raz na zawsze swą edukację, nie będzie umiała podolać życiu i obowiązkom.

Wreszcie, to nowe pojęcie wychowania przeciwstawia się odziedziczonemu po okresie pozytywizmu i oświecenia przekonaniu, iż rdzeniem pracy wychowawczej jest udzielanie wiadomości i że człowiekiem wychowanym jest człowiek oświecony, wykształcony intelektualnie. Skoro wychowanie pojęte zostaje jako przyswajanie kultury, dokonywane w ciągu całego naszego życia, to rozwój osobowości człowieka dokonywa się w całej jego życiowej postawie, a więc w jego stosunku do bliźnich, do obowiązków społecznego, do pracy zawodowej, do sztuki, do wywczasów. Przekonanie, iż kształcimy się wyłącznie przez oświatę wpływa destrukcyjnie na stosunek człowieka do innych sfer życia. Wydaje się mianowicie, że, gdy wstaniemy od książki, nie jesteśmy już więcej obowiązani dbać o swe pogłębienie, i stosunek do bliźnich, przyrody, sztuki, rozrywki układać się może według zasad korzyści lub użyteczności. I dopiero przełamać trzeba to ograniczające mniemanie, by zrozumieć i odczuć tę surową, ale wyzwalającą prawdę, iż w każdej sytuacji życiowej, w każdym naszym przeżyciu, bez względu na to, czy dotyczy rzeczy naukowych, czy rzeczy społecznych, czy prywatnych, możemy i powinniśmy się kształcić i rozwijać.

Tak pojmovane wychowanie przestaje być sprawą szkoły, rodziców i dzieci. Staje się — widzimy to bardzo jasno wszędzie w świecie — powszechnie ludzkim problemem, ważnym dla każdej jednostki i dla każdej zbiorowości. W tej atmosferze zmienionych zapatrywań na wychowanie i zmienionych odczuć jego znaczenia powstaje charakterystyczne dla naszych czasów zjawisko: tworzy się *wychowawczy pogląd na świat*. Na czym polega odrębność stanowiska, ujmującego życie z wychowawczego punktu widzenia? Na tem, iż decydującym kryterjum oceny rzeczy, instytucji, stosun-

ków, przeżyć i ludzi jest ich znaczenie wychowujące, jakie mają dla człowieka. Stąd surowe, krytyczne pytania: W jakich warunkach płynie życie współczesnego człowieka i jakie motywy wyznaczają ten cały, ponadindywidualny układ stosunków i norm, zwanych kulturą obiektywną? Czy jest to środowisko, w którym człowiek może się wychowywać czy też musi się w niem deprawować? Odpowiedź nie będzie pochwalającą.

Jedną z najważniejszych spraw jest stosunek jednostki do pracy. Stosunek ten układa się dziś na podstawie konieczności gospodarczych i niewielka tylko ilość ludzi posiada taką pracę, jaka im w rzeczywistości odpowiada. Dla większości czas spędzony w pracy jest ciężką koniecznością zdobywania środków dla życia lub, jak dla niektórych, dla użycia. Podczas tych długich godzin, pochłaniających więcej niż połowę życia naszego, zachowujemy się jak niewolnicy. Praca podejmowana z pobudek wychowania materialnego traci swą wartość w naszych oczach, a powoli i my sami tracimy szacunek dla siebie, ponieważ zajmujemy się bezwartościowym zajęciem. Zniechęcenie do siebie i do życia są cechami tego stanu rozdźwięku pomiędzy zawodem i człowiekiem. Ze stanowiska gospodarczego wszystko jest tu w porządku i, byle tylko niechęć do pracy nie dawała się zbyt łatwo odczuwać w jakości produktów i intensywności wysiłku, nie należy dążyć do żadnych zmian. Inaczej z wychowawczego punktu widzenia. Tylko taka praca nas kształci, którą podejmujemy z miłości, z pobudek ideowych, z zapалу osobistego, z przywiązania. I tylko taka praca jest uprawniona i tylko taka praca powinna istnieć. Wszelka inna jest grzechem naszej epoki. Jest nieobalnym jeszcze niewolnictwem. Zapewne przyszłe epoki traktować ją będą z takim samym oburzeniem moralnym, jak my traktujemy instytucję niewolnictwa, zapominając, iż dzisiejsze przymusowe formy pracy dla wolnych ludzi są tem samym, lub cięższym jeszcze, niewolnictwem. Z wychowawczego stanowiska sprawa nie może mieć kompromisów: winna być dokonywana taka przebudowa społeczno-gospodarcza, by ludzie mogli się wychowywać w spełnianiu przez siebie pracy. Wszelkie inne względy, ekonomiczne i techniczne, muszą ustąpić na plan dalszy.

W podobny sposób ocenia się z wychowawczego stanowiska organizację społeczno-polityczną. Jeśli jej powstaniem i utrwaleniem rządzą motywy niesprawiedliwości, w zysku, gwałtu to nie może ona znaleźć uznania w oczach wychowawcy. Prawa i instytucje powinny być takie, by człowiek nie deprawował się żyjąc wśród nich, ale by spełniając ich wymagania służył zarazem własnemu rozwojowi. Nie da się oznaczyć raz na zawsze, jakie formy organizacji są właściwe, zależy to od czasu, miejsca, psychiki narodu; dlatego dokonywać trzeba oceny wciąż nowej i rozważnej. Niema idealnych ustrojów społeczno-politycznych: demokracja może być w pewnych warunkach równie deprawująca, jak i monarchja absolutna, czasem zaś właśnie silna władza zgóry hamuje niebezpieczeństwa chaosu: pokusy łatwego używania swobody. Ale trwały jest punkt widzenia: jeśli pod wpływem układu stosunków społecznych powstają w ludziach silne uczucia zawiści, jeśli

### T R E Ś Ć:

KAROL IRZYKOWSKI

AWANGARDA

I POGARDA

ANTONI POTOCKI

JAK I O ILE OBRAZ

C A Ł O Ś C I

R O C Z N E G O

D O R O B K U

L I T E R A T U R Y ?

JÓZEF JANKOWSKI

H E N R Y K

D E M O N T H E R L A N T

J O S E P H C O N R A D

( K O N R A D

K O R Z E N I O W S K I )

W P R Z E K Ł A D Z I E

A N I E L I Z A G Ó R S K I E J

Z W I E R C I A D Ł O

M O R Z A

J A N B R Z E C H W A

P A R Y Ź

BOGDAN SUCHODOLSKI

Z W Y C I Ę S T W O

W Y C H O W A N I A

R E C E N Z J E:

L E W I A T A N

D O M W G O R C A C H

S Z A R E W I E R S Z E

F I K C Y J N A P O S T A Ć

M I A S T O B E Z O J C Z Y N Y

L U D Z I E K T Ó R Z Y

J E S Z C Z E Ź Y J A

R E C E N Z J E P O L E M I K I

S P R A W O Z D A N I A

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

K 1244/84/39



JAN BRZECHWA

PARYŻ

Na bulwarach paryskich  
słychać mowę hinduską,  
dźwięk daleki — nie bliski,  
obcy myślom i ustom.

W mojej gwarnej dzielnicy,  
jak poźółkłe zagadki,  
chodzą mądrzy chińczycy  
i leniwe mulatki.

A przez okno hotelu  
widzę ptaki samotne,  
i ostatni ich przelot  
w obce niebo za oknem.

większość z nich przeżywa osłabiającą wolę  
poczucie poniżenia i niesprawiedliwej krzy-  
wdy, jeśli nie można życia własnego rozwią-  
zać swobodnie, jeśli musimy, by żyć, zdo-  
bywać przewagę kosztem uczciwości — tak  
ki ustrój jest szkodliwy i żadne motywy nie  
mogą go usprawiedliwić.

Podobnie w stosunku do wyuczyszów.  
Według potocznego mniemania wszelka roz-  
rywka, byle pochłaniała czas i uwagę, jest  
dobra. Ten stosunek do odpoczynku jest  
w naszej epoce odpowiednikiem niewłaści-  
wego stosunku do pracy: kto pracę traktu-  
je jako bezwartościowe i przymusowe za-  
jęcie, ten i odpoczynek pojmuję również ja-  
ko ucieczkę od siebie samego, jako „spędze-  
nie” czasu. Ze stanowiska wychowawczego  
czas wolny od pracy winien być zużyty w  
zgodzie z głębszymi potrzebami własnej oso-  
bowości.

Od zobowiązań wychowawczych nie jest  
też wolną kultura duchowa. Być może nawet  
w tym zakresie dostrzeżono najwcześniej  
niebezpieczeństwa, płynące z wytwarzania,  
nagromadzenia i pochłaniania dóbr, bez  
względów na potrzeby poszczególnych jedno-  
stek. Dzieła kultury duchowej również po-  
winy wychowywać. Wciągnięcie ich w bieg  
przeżyć i doświadczeń żywych ludzi nie jest  
ujmą, ale triumfem. Dystans czci, należnej  
wielkości, nie może się stawać obojęt-  
nością. Stworzone i tworzone dobra kultury  
duchowej powinny działać w duszach twórców  
i odbiorców. Nawet dziedzina zwroco-  
na rzekomo zupełnie ku obiektywnemu świa-  
tu, nauka, może i powinna wychowywać  
umysł i charaktery i to nie tem, iż pozwala  
się zdyskontować w technicznych udogod-  
nieniach, ale duchem metody, sumienności,  
rzetelności, krytycyzmu.

Wychowawczy punkt widzenia wyznacza  
również swoisty sposób oceny człowieka.  
Nie uznaje mianowicie wszelkich oznaczeń,  
które nie wnikają w to, czym człowiek jest  
sam w sobie, a odnoszą się do jego zewnę-  
trzych właściwości. A więc nie tylko po-  
chodzenie (z tem już łatwo się nam pogod-  
zić), ale i zdobyty majątek, a nawet wy-  
kształcenie, stanowisko społeczne, znaczenie  
głośnie i widome nie mogą uchodzić jako  
właściwe kryteria oceny. Ważne natomiast  
jest to, co człowiek robi ze swoim życiem,  
czy ma ono dla niego sens poważny i od-  
powiedzialny, czy też tylko jest po to, by  
było przeżyte? Wartość życia, mierzona  
stosunkiem do siebie, do bliźnich, do obo-  
wiązku, niedostępną zewnętrznym oznacze-  
niom społecznym indywidualny styl i po-  
ziom postępowania, żywotna wola kształce-  
nia się — wszystko to, choć trudno uchwyt-  
ne, stanowi o najistotniejszej wartości ludz-  
kiej. O niej też mówi się w powieści, poda-  
wanej z ust do ust wieści, która posiada  
czasami siłę legendy i gloryfikuje świętych  
naszych czasów. I w tem jest prawda.

Ten sąd nad ustrojem społeczno-gospo-  
darczym, kulturą duchową i ludźmi, sąd do-  
konywany w imię wychowania przynosi su-  
rowy wyrok i żąda radykalnej przebudowy.  
Coraz liczniejsze koła potwierdzają to żąda-  
nie. Jesteśmy świadkami potężniejszego prą-  
du, który traktuje całą kulturę jako wielkie  
n a r z ę d z i e w y c h o w a w c z e

Czoło chore przyciskam  
do drewnianej framugi:  
noc w Paryżu — paryska,  
sen się zbliża — niedługi,

a ty krążysz nad głową  
poprzez sny, co się nie śnią,  
wierna ustom i słowom,  
i tym snom i tym pieśniom,

tobą ptaki śpiewają  
nad mrokami mojemu,  
mowo mojego kraju,  
muzyko mojej ziemi!

Wielką zasługę ma w tem szkoła. Z kół  
nauczycielskich wychodzi żądanie zdecydo-  
wane: jeśli szkoła ma być związana z ży-  
ciem i w tym związku wychowywać mło-  
dzież to nie może istnieć rozdźwięk między  
tem, co się dzieje w jej murach a tem, co  
znajdą jej wychowankowie w świecie. Wsze-  
lka praca wychowawcza traci sens, jeśli za-  
przeczyć jej ma rzeczywistość najbliższa.  
Jeśli szkoła ma wychowywać nowe pokole-  
nia, zdolne lepiej pokierować losem Euro-  
py, to już dziś życie starszego pokolenia  
musi się stawać posłusznym wymaganiom wy-  
chowawczym, reprezentowanym przez szko-  
łę. Brzmi to paradoksalnie, a przecież tak-  
ką jest prawda: jeśli bowiem mamy mło-  
dzież naszą wychowywać w łączności z ży-  
ciem, a nie w sztucznych warunkach izola-  
cji, to życie nasze własne, to życiowe śro-  
dowisko realne, w które mamy ją wprowa-  
dzać, musi dźwigać się na wyżyny siły wy-  
chowawczej i nie może być źródłem depra-  
wacji.

Ale nietylko szkoła domaga się respek-  
towania wychowawczego punktu widzenia  
wobec wszystkich przejawów życia. Jest on  
wyrazem głębszej potrzeby czasów dzisiej-  
szych. Wyzwalamy się coraz pełniej z opty-  
mistycznej, ale i deterministycznej wiary w  
opatrznościowe rządy przyrody, porzucamy  
liberalistyczną politykę wyczekiwania i do-  
stosowywania się do nieuchronnych, choć  
rzekomo dobroczynnych, praw natury. Sta-  
wiamy dumne pytanie: kto się ma przysto-  
sowywać, człowiek do rzeczywistości czy  
też rzeczywistość do człowieka? Punkt wi-  
dzenia wychowawczy jest wyrazem wiary  
w siłę ludzką. Wychowanie nie powinno  
przystosowywać człowieka do tych warunków  
życia, które są niedoskonałe i mają  
być zmienione. Wychowanie powinno bun-  
tować ludzi przeciwko nim. Powinno im  
dawać siłę walki twórczej, rozmach przebu-  
dowy. Coraz powszechniej zbierają się lu-  
dzie do walki z tem wszystkim, co ich otar-  
cza i krępuje, a co w ich oczach nie posia-  
da uzasadnienia. I czy to będzie ciężar ma-  
stwej tradycji, czy wymaganie przestarzałego  
prawa moralnego, czy ustrój gospodarczy  
oparty na interesie produkcji, czy ustrój  
społeczny umożliwiający wyzysk, czy nies-  
prawiedliwy ustrój polityczny — wszędzie  
mamy do czynienia z tą samą walką przeciw-  
ko panowaniu rzeczy nad człowiekiem.

W tej rosnącej woli przebudowy całej  
cywilizacji przejawia się zwycięstwo wycho-  
wania. Widząc to dokonywane się do-  
świadczenie naszych czasów możemy teraz  
podać krytyce teorię, według której rola  
wychowania dla kultury polega na prze-  
szczępieniu jej ze starszych pokoleń na  
młodsze. Nie na tem konserwowaniu pole-  
ga najgłębsza rola wychowania dla kultu-  
ry. Polega ona na tem, iż uświadomienie  
sobie sensu wychowania wytwarza w nas  
skłonność do ujmowania rzeczy pod kątem  
widzenia wychowawczym. A ten punkt wi-  
dzenia jest rewolucyjnym spojrzeniem na  
świat istniejący. Wychowanie odradza kul-  
turę i przebudowuje ją. Ale nie przez to,  
a raczej nietylko przez to, że przysposabia  
do życia nowe pokolenia, ale przez to prze-  
dewszystkiem, iż w dojrzałym pokoleniu  
wzbudza krytycyzm, ucząc mierzyć rzeczy  
i stosunki miarą, jaką nie były dotychczas  
mierzone. Na tem polega zwycięstwo wycho-  
wania w naszej epoce i na tem jego siła  
przebudowująca kulturę.

KAROL IRZYKOWSKI

AWANGARDA I POGARDA

(Wycieczki w lirykę II)

W odpowiedzi na zarzuty (także moje),  
że uprawiają metaphoritis, awangardowcy  
wykroczyli swoją ideologię twórczą, któ-  
rą chciałbym tutaj streścić lojalnie i nawet  
amplifikując, jednak nie fałszując.

Metafora — u Awangardy — nie jest  
ozdóbką zewnętrzną, formalną, lecz sednem  
rzeczy, i należy przedewszystkiem do treści.  
Przecież poezja wogóle jest sprawą metafizy-  
czną. Otóż wyobraźmy sobie już sam po-  
mysł, samą ideę, samą zasadniczą wizję utwo-  
ru awangardowego jako metaforę-ziarno; to  
ziarno, rozwijając się, wypuści z siebie roślinę,  
której liście, kwiaty czy owoce, jako or-  
ganiczny i konieczny ciąg dalszy, będą i mu-  
szą być również metaforami.

W tym związku Peiper mówi o „układzie  
rozkwitającym” i o „proscie metaforyzacy-  
nym”, a Przybós (w „Drodze”) twierdzi, że  
im potężniejsza siła natchnienia, tem większe  
„nasilenie widzenia metaforycznego”. Brzę-  
kowski zaś mówi o „poezji integralnej” to  
znaczy, że nie zawiera ona już w sobie nic  
zbytecznego, zewnętrznego, jest czystym de-  
stylatem.

Z tą doktryną można równie dobrze plo-  
dzić doskonale jak złe wiersze; jej pragma-  
tyczna, t. zn. zachęcająca wartość może być  
taka sama jak niegdyś islamu dla Turków.  
Pod lupą analizy może jednak okazać się, że  
zdanie, iż poezja jest metaforą, samo jest —  
metaforą. Ostatecznie każde pokolenie ukła-  
da sobie inną odpowiedź na to czym jest poe-  
zja (czem jest forma, Bóg i t. p.), czyli inny  
ideal; ma swoją poezję o poezji. Ale otóż za-  
sada rozwijania kwiatów z ziarna, zasada  
ziszczania jakiejś immanentnej (t. zn. we-  
wnętrznej, koniecznej, w założeniu tkwiącej)  
krystalizacji pomysłu pochodzi właściwie od  
kubizmu, który marzył o drugiej, mniejszej  
ale geometrycznej rzeczywistości, stojącej w  
jakimś — może krytycznym, może władczym,  
może przyszłościowym — stosunku do re-  
czywistości pierwszej, zwykłej, naturalistycz-  
nej. Ideal konsekwencji, ideal pisania słowem,  
prawdą, takim a nie innym, towarzyszył poe-  
tom, (t. j. także powieściopisarzom i zwa-  
szcza dramaturgom zawsze. Ale czemuż  
owe konsekwencje muszą być tylko meta-  
forami? Wprawdzie możnaby metaforyzację  
w poezji uważać za pewnego rodzaju odpo-  
wiednik kształtów geometrycznych w malar-  
stwie. Ale w takim razie musi wejść w  
życie moja teza postawiona w „Walce o  
treść” (rozdział o zdobnictwie), że postaci  
metafory może być miljon; jako metaforę  
można odczuwać np. realizm w „Pani Bo-  
vary” albo ibsenowską ekspozycję w drama-  
cie, polegającą na zręcznym stosowaniu pars  
pro toto. Metaforą sosny jest skromna szy-  
szka, a nie świecidelka z epoki Bożego Na-  
rodzenia. Jak organiczność, to już organicz-  
ność „na całego”. Jedynie w ten sposób da-  
ją się zbudować teorie ogarniające całość zja-  
wisk literackich. Ale panowie awangard-  
ści tę moją — propozycję — zlekceważyli  
i oto pojawiają się prymitywne, receptowe  
tezy Brzękowskiego. Tylko Przybós zanie-  
pokoił się nieco moimi zarzutami i posta-  
wiwszy (l. c.) tezę, która wychodzi na to, że  
tem lepszy poeta, im więcej narobi metafor,  
w odsyłaczu dodaje małe zastrzeżenie:

„Nie jest to formuła bezwzględnie obowią-  
zująca. Niekiedy (dobre sobie jest to „niekie-  
dy”)! Ono wynosi 95% całej literatury! K. I.)  
wartość poetyckiej przenośni może mieć styl  
niemetaforyczny, mowa najbardziej codzien-  
na (? K. I.). Ale i wtedy działa to prawo (pra-  
wo, że poeta mierzy się ilością zrobionych  
metafor? K. I.), tylko że w odwróconych (?  
K. I. warunkach. Jednakże musi istnieć ja-  
kaś linja asymptotyczna metaforyzacji, której  
nie wolno przeciągnąć.” (Calkiem niezrozu-  
miale; czy to znaczy, że zadaleko iść w ta-  
kich, powiedzmy, powszednich metaforach  
nie można, że moja propozycja jest pod-  
chwytliwa, wytrąca metaformikom grunt z  
pod nóg? K. I.)...

Gdy Przybós wraca do starego dogmatu  
konieczności w tworzeniu, to jednak Peiper  
mający szersze ambicje, nie zasklepia się w  
takich ascetycznych idealach (jak np. „je-  
dność” przybosowska), lecz akcentuje głów-

\*) Patrz artykuł p. t. Zgiełk a ścisł t. zw.  
walorów w N-rze 39 Pionu.

nie antirealizm, absolutną nowość i odmien-  
ność materiału budowlanego poezji. Stąd jest  
już wygodniejsza droga do innych gatunków  
literatury, aby nie gniesć się wiecznie w naj-  
bardziej choćby zagęszczonych pieluszkach  
liryki. Trochę się rozrzędzić i rozprostować  
potrzeba. Ale na przeszkodzie stoi stara po-  
garda dla skamandrytów, jako tych najbar-  
dziej rozrzędzonych („lobuzowanie słowem”  
mówi Peiper), rozluźnionych, tych którzy nie  
znają rygoru i wstydu (dwa bożyszczka A-  
wangardy) a jednak mają powodzenie. Gdy  
Wierzyński wola wprost „Jestem wesoly” tak  
jak Tetmajer wolał „Jestem smutny”, Peiper  
powiada, że to jest bezwstydne, należy się  
krępować, czyli jak on to nazywa „pseu-  
donimować”. „Strofkarze i kataryniarze” — mio-  
ta w ich stronę przekleństwo Przybós, jako  
że uprawiają jeszcze taką rozpustę jak me-  
lodja wiersza i rym bliski.

A jednak jest to nienawiść mnicha do  
swoich przyszłych grzechów. Nie sposób, że-  
by mistrze Awangardy nie odkryli kiedyś ca-  
łej kopalni starych efektów, takich np. jak  
bezpośrednia szczerść, albo — zamiast me-  
tafory — anafory (powtarzanie), ten tropus  
(trik, sposobik, chwyt, sztuczka, a iście też  
odmianka wszechmetafory) najpospolitszy,  
który nigdy nie chybia wrażenia, choć jest  
taki — rozchełstany. Jeżeli się ma, jak A-  
wangarda, upodobanie do tropuszu tak ordy-  
narnego jak gra słów (wykreśl — wykres w  
jednym wierszu Małsińskiego), którąby ra-  
czej już ubogiemu w skarby wyobraźni dzien-  
nikarzowi-krytykowi zostawić należało, to  
czemuż nie „odkryć” anafory. Idzie tylko o  
to, jaka treść te formy wypełni. Tu programy  
Awangardy są skąpsze. Brzękowski np. w  
rozdziale „Poezja stosowana a poezja prole-  
tariacka” nie posunął się poza formułę Pei-  
pera: „mój rym jest socjalistyczny” bo mówi,  
że „nowa budowa poetycka jest odpowiedni-  
kiem nowej budowy społecznej”, że daje „e-  
kwivalenty nowych sposobów organizacji  
społeczeństwa”, nie oświadczając się jednak  
wprost za żadnym z dzisiejszych „izmów spo-  
leczno-politycznych (str. 54/5).

I owszem, jest odpowiednikiem, ale w zna-  
czeniu ujemnym. Jak bowiem w Wielkiej  
Dyskusji społecznej walkuje się tylko tych  
kilka izmów a nie szuka się wielu innych  
możliwych rozwiązań, tak i awangardyzm, jak  
to wskazałem w wycieczce I, obraca się w  
szczyplym kompleksie pewnych idiosynkra-  
zji, przysięgając, przeklinając, miotając się  
poprostu politycznie, zamiast i badać i ko-  
rzystać z tego co już zrobiono i oczywiście  
wdrażać nowe twórcze badania (czego im  
zresztą w małym zakresie nie odmawiam).

Dawniej nowatorzy literaccy w swoich pi-  
smach awangardowych uprawiali głównie no-  
wele, jako ten gatunek, w którym można się  
było wysumieć programowo, dać antycypa-  
cję jakiejś nowej treści, błysnąć jakąś nową  
burzą. Dla Awangardy „treść, zwyczajna fa-  
bula, miała stosunkowo niewielkie znaczenie”  
(Brzękowski, str. 19). Przybós w „Linji” do-  
skonałe krytykuje treść jednego ze słabszych  
wierszy Tuwima, ale sam w swoich utworach  
dziś nie wychodzi poza wstydlive — nie z  
ostrożności lecz z teorii — wyznania rewolu-  
cyjnej. Wciąż tylko budowa, struktura, walo-  
ry, forma. W naszych retortach otrzymuję się  
150% poezji, w skamandryckich tylko 50%.  
Kupczą technicznymi tajemnicami: nasze kon-  
densatory, nasze akumulatory...

Zresztą grupa jako grupa bliska jest roz-  
prysknięcia się. Przybós gwałtownie się eman-  
cypuje. Według tego, co napisał w „Drodze”,  
już i Brzękowski wydaje mu się za mało  
„nasiloną” metaforycznie. A Peiperowi wy-  
powiada posłuszeństwo. Odstawia go na pie-  
destał prozy (jak pisze „najświetniejsze  
dziś w Polsce”), ale Peiper jest dla niego tak  
jak Skamandryci zanadto rozchlapany, reto-  
ryczny. Ja jestem obrazowy, on jest pojęcio-  
wy, retoryczny — zapewnia Przybós. Jak tam  
z tem jest, o tem chyba kiedyś osobno, gdy  
będę pisał o poezjach Przybosia. Dość że po-  
zdezonizowaniu Peipera, Przybós zostałby  
jedynym królem monolitów — czy obelisków  
— hieroglifowanych Awangardy. Takby się  
grupa rozpadła, gdyby nie cementowała jej  
potężnie jedna wspólna zbrodnia: niezrozu-  
miałstwo.



ANTONI  
POTOCKI

# JAK I O ILE OBRAZ CAŁOŚCI ROCZNEGO DOROBKU LITERATURY?

Niedawno wyszedł drugi „Rocznik Literacki” (wydawnictwo „Instytutu Literackiego”, pod red. Zygmunta Szwejkowskiego) obejmujący materiał za rok 1933. Jest to niemal rekord sprawności wydawniczej, gdy trzeba było objąć materiał aktualny w ilości jakiegos tysiąca tomów — cały dorobek roczny polskiej literatury.

Ale czy cały? — Muszę wyznać na wstępie, że osobiście wprost zniewolony jestem tą książką, gdyż ułatwia mi niezmiernie ukończenie obrazu literatury współczesnej, nad którym pracuję od paru lat. Bardzo jestem usposobiony wprost do zachwyty. Ale tem bardziej, tem chciwiej szuka się wtedy tego jak i o ile objęta jest owa całość? O tem chcę parę słów powiedzieć.

Jak — w znaczeniu tonu i metody przedstawiania materiału, o ile — w znaczeniu zasięgu nadanego pojęciu „literatura”. — Rzeczy te wiążą się z palącymi zagadnieniami całej metodologii badań literackich gdzie coraz wyraźniej zarysowuje się postulat różnicy między krytykiem a historykiem literatury. Coraz trudniej już dziś, a w rychłej przyszłości zgoła będzie niemożliwym dla historyka obejmować analitycznie; poprostu obczytywać całą produkcję lat minionych, nawet na odcinku paru pokoleń. Historyk literatury będzie musiał nawet dla objęcia dziedziny t. zw. współczesności polegać na monografiach, dających mu ocenę różnych działów literatury. Otóż obok monografii taki przewodnik rokroczny, zestawiający materiał informacyjny — taki djarzusz faktu literackiego — będzie stanowił nieoszacowalny, wprost podstawowy stopień, idący bezpośrednio po bibliografii i stawiający wytyczne prace czytania utworów i komentowania sądów o nich.

Mam wrażenie, że to jest zasługa postanowienia na porządku dziennym sprawy pilnej — zasługa niemal godna stanąć obok tak świetnie ongi przodującego nie tylko w Polsce uporządkowania bibliografii przez Estreichera. Rzecz prosta o tyle, o ile „Rocznik Literacki” rozwinię się w skali tej wielkiej potrzeby, której ma odpowiedzieć, no — i będzie wychodził bez przerwy.

Przypuszczam że znakomite grono współpracowników, których zgromadził, zdaje sobie dokładnie sprawę z tego **objektywnego**, zasadniczego zadania **Rocznika**. Wobec zadania tego musi zejść na drugi plan wszelki wzgląd na t. zw. „szerokiego czytelnika” (ten w rocznikach informacji nie szuka) jak i na polemiczne zacięcie studiów. Rocznik taki musi informować **wyczerpująco** — a jeśli już chodzi o sądy **merytoryczne**, to powinien je podawać również jako informację usystematyzowaną o opinii krytycznej — całe wedle możliwości — danego okresu. Lecz do tego powrócę później.

Zupełnie też rozumiem zakłopotanie p. Stefana Kołaczekowskiego, który zaopatrując **Rocznik** w rodzaj przedmowy, zastrzega się narazie przed daniem jakiegos „syntezy”. Syn-teza rocznego wycinka pracy literackiej kilkuset pisarzy — jest absurdem. Takie „syn-tezy” kryją najczęściej brak zainteresowania się literaturą nie kochających jej literatów. Podobnie z forsownem wylapywaniem „justra” byle pominąć „dziś”. I słusznie p. Kołaczekowski zamiast takiej efemerydy syntetycznej daje kilka bystrych spostrzeżeń o cechach charakterystycznych bieżącej produkcji. Mówi między innymi: „Niestety, naszą dzisiejszą literaturę można podzielić na grupę barbarzyńców, prymitywów i na kulturalnych dekadentów. Wspólna tym grupom jest tylko megalomanja. Wyjątki, które się nie dadzą do tych dwu grup wliczyć, oczywiście są, ale to właśnie wyjątki”. P. Kołaczekowski sam żądał od redakcji, by wstępnych ocen o produkcji rocznej, ryczałtem branej, było w każdym roczniku parę, różnych autorów. Jakże zbawienna asekuracja przed dwoma typami „doktorów” badających pacjenta: przed doktorem „Tem lepiej” i doktorem „Tem gorzej”. — Oczywiście że i wśród doktorów są wyjątki, podług wyżej sformułowanego zastrzeżenia „ale to właśnie wyjątki”. Ciekawem jest pozatem, że p. Stefan Kołaczekowski wyróżnił szczególnie trzy utwory aktualne — wszystkie trzy piórko biecych (Marii Dąbrowskiej, Poli Gojawi-

czyńskiej, Anieli Gruszeckiej). Ciekaw jestem kogo wymieniliby jakaś koreferentka, gdyby redakcja dodała ją panu Kołaczekowskiemu?

Około stu stron w trzech rubrykach poświęca **Rocznik** poezji, powieści i teatrowi. Stosunek do całości może niezupełnie słuszny, gdyż działły te właściwie wypełniają w każdej literaturze conajmniej trzy czwarte produkcji. — Niestety w literaturze polskiej **przekłady** stanowią rubrykę tak stosunkowo ważną, że zajęły w **Roczniku** 88 stron — tylko o 10 stron mniej niż twórczość oryginalna! To trzeba stanowczo uregulować inaczej. Przekłady u nas należy poddawać bezlitosnej ocenie: tylko w ten sposób przestaną być plagą, więc nie można im miejsca uszczuplać. Ale nie może to się dziać kosztem trzystu autorów polskich (tytuł wymieniają krytycy na r. 1933).

Naprawdę chwilami można mieć złudzenie, że istnieje wśród nas jakaś **fobia** w stosunku do twórczości literackiej, choć tyle się mówi o szczytowem znaczeniu poety, dramaturga czy powieściopisarza. Utwór, autor są zbyt często tylko pretekstem do mówienia o jakiejś „kategorji” społecznej, psychicznej, filozoficznej, pod których strychulcami ginie czar utworów jak kwiaty giną w fabryce perfum. I gdybyż to co się z nich wyciska! było chociaż różanym olejkiem! Ale gdzież tam! **Rocznik literacki** powinien stanowczo szepać większy szacunek do **utworów** i **autorów** jako przecież realniejszych dla literatury od „kategorji”. Tymczasem, o jednym np. z autorów wyraża się sprawozdawca (str. 45) „dzieło autentycznego **prostaka, półinteligenta**” z Poznańskiego” (tuż tam nazwisko) — czy rzeczywiście tak można mówić w tego rodzaju sprawozdaniach. Czytam w innym miejscu: „Nie będziemy się zajmowali stylem powieści ani metafizyką Kadena-Bandrowskiego, bo obiekt i **małowartościowy** i już **naprzykrzony**... Czy tak? Ale w takim razie po cóż tracić te cenne dwa wiersze tekstu? I czy rzeczywiście „objekt” nadaje się do takiego potrącenia lokciem? „Objekt” niespotykanego niemal „słuchu absolutnego” w prozie Kadena-Bandrowskiego należałoby raczej poddać bardzo poważnemu badaniu, a nie niespodziewanej obeldze. Do jakiejże kategorii — „kulturalnych dekadentów” czy „barbarzyńców” zaliczyłby p. Kołaczekowski autora powyższego szturchańca?

O **Odwiedzinach** i **spotkaniach** Jana Pa-randowskiego czytam znowu takie zdanie, że „należą do tego typu „essay’ów”, który skończył się już kilkadziesiąt lat temu wraz z Anatolem Francem” (str. 282).

Otóż kilkadziesiąt lat temu Anatol France był właśnie u szczytu świetności, a sam ródzaj wytwornego essay’u wyginie dopiero z rasą wytwornych ludzi, których znają i nie zniszczą nawet rewolucje. Pocóż więc błędnie informować?

Czytam jeszcze (str. 47) taką wiadomość, z powodu „młodego oficera ułanów, który padł na ulicy Krakowa w listopadzie 1923 roku”. — „Co robić, najlepsi poeci polscy nie padli na polu chwały!”. — Co robić? — Nie zajmować miejsca w szczupłym organie literackiej informacji — tematem do politycznego artykułu.

Jeszcze jedno: dlaczego Jalu Kurka może na „przecież” uznać za poetę, skoro jest — poetą?

Wreszcie — skoro w dziale poezji lub prozy nie mało jest autorów o których sprawozdawca mało powiedział, tylko tyle, że ich nie ma, to czy dla oszczędności miejsca nie należałoby o takich ryczałtem zamilczeć, zostawiając ich w rubryce p. t.: „nieobecni”?

Istnieje dla krytyki naszej pewna grupa (str. 110) pisarzy podawanych w pogardę jako autorzy podobno niedociągający do poziomu najbanalniejszego naśladownictwa „prawdziwej” literatury. Są to pisarze b. płodni i poczytni. Czy wobec tego nie należałoby przenieść ich wszystkich do działu utworów „popularnych”, a tam poza przepisowym szturchańcem, owszem właśnie rozrzeć się krytycznie w ich powieściach? W najgorszym razie byłby z tego doskonały

\*) podkreślenie moje.

feljeton humorystyczny w stylu Magdaleny Samozwaniec — a może jednak zmienisz kąt widzenia dalby pole do obserwacji nie tylko szturchańców?

Być może, iż wydadzą się komuś te skromne zastrzeżenia (może ich być znacznie więcej), co do pewnej, powiedzmy, niechęci polskich krytyków do polskich autorów, jaki zbytek ugody, jako brak temperamentu... krytyczno-polemicznego? Ale klótnia nie jest walką, a obdziałanie szturchańcami i wyzwiskami nic nie ma wspólnego z **informowaniem**. Stoję ciągle na stanowisku, że to właśnie informacja jest zadaniem **Rocznika**.

Zarzuca p. Manfred Kridl pracy p. Leona Pomirowskiego, że nie uwzględnił, podając własne oceny, innych krytyków o tych samych autorach. „Czyżby uważał — zapytuje — studia te za niegodne przemyślenia i uwzględnienia w swych syntezach” (str. 277). Trochę dalej, zdając sprawę z **Obrazu literatury** p. Kazimierza Czachowskiego, zapomniał podkreślić, że ten właśnie pisarz cytuje **systematycznie** sądy innych krytyków obok własnych, co jest naprawdę rzadkością, a co powinno być **metodą we wszelkiej pracy historyczno-literackiej**.

Otóż mniemam, że w „Roczniku Literackim” metoda przytaczania zdań krytyków współczesnych powinna być stosowana bez wyjątku we wszystkich działach — nie tylko jako kontrola optymistycznych „tem lepiej” za pomocą pesymistycznych „tem gorzej” czy odwrotnie, ale jako **podstawowa wartość wydawnictwa**. Powinno ono odbić sądy współczesnych, dać obraz opinii krytycznej, a raczej różnych opinii o danym utworze czy autorze. Na stronie 68 p. Karol Irzykowski daje np. swoją zwięzłą ocenę **Czwartego do brydza** p. A. G. Siedleckiego — a dalej cytuje oceny pani Krzywickiej, p. p. Piaseckiego i Nowaczyńskiego. I to jest doskonały typ sprawozdania dla **Rocznika**. Rzeczy te referuje z podaniem pism, gdzie zabierano głos o danym utworze — staną się zasadą. Ponieważ **Rocznik** ma charakter repertuaru rzeczy bieżących, niepotrzebne tu są powoływania się na poprzednio wydane prace krytyczne, ale **krytyka bieżąca** musi być uwzględniana **planowo** i nawet może na **pierwszym planie**. **Rocznik** sam daje opinię dwudziestu kilku sprawozdawców własnych. Ale przecież istnieją poza **Rocznikiem** opinie Boya, Siedleckiego, Nowaczyńskiego, Pomirowskiego, Skińskiego, Borowego, Wasilewskiego, Lorentowicza, Kadena-Bandrowskiego, Rzymowskiego, Peipera i stu innych sprawozdawców, krytyków, badaczy. Bez zreferowania bodaj schematycznego, bodaj przywskazaniu jakiegos za lub przeciw tych opinij lub wprost odwołania się że **były i gdzie** wypowiedziane. **Obraz** naszego życia literackiego będzie wprost okaleczony, walor wydawnictwa dla przyszłego historyka obniżony, pozatem nie osiągnie niezbędnego **objektywizmu**, osiągalnego bez zastrzeżeń jedynie przez wszechstronne zestawienie sądów.

Praktyczni Anglicy dzielą często literaturę na „fiction” i „criticism”. I w istocie, poza podziałami uświęconymi tradycją, jest to może najżywniejsze rozgraniczenie dwóch stosunków pisarza do utworu. Otóż o ile jeszcze zajmujemy się utworami poetyckimi lub powieściowymi, o tyle ogromny roczny wysiłek komentatorstwa, krytycyzmu wsiąka przeważnie w piachy dziennikarskie. Tymczasem ważny jest ten materiał przede wszystkim jako żywa, bezpośrednia reakcja opinii jako korelatyw owej „fiction”, jako swoista manifestacja psychiki danego środowiska już nawet niezależnie od waloru **sądów o utworach**, które ją wywołały. Wreszcie sami poeci przynoszą w „krytycyzmie” niemający materiał dodatkowy, rzucający światło na stan duchowy momentu. Myśl krytyczna jest równie „literacka” jak konstrukcja wyobraźni — jest współczynnikami całości, jest dokumentem przeżywania twórczości przez ogół.

Prócz wprowadzania obowiązkowego przytaczania (względnie wskazywania) sądów krytycznych spoza samego grona współpracowników (zwłaszcza co do utworów ważniejszych lub spornych) należałoby

stworzyć jako rubrykę **Literaturę w prasie**, gdzie byłyby omawiane próby literackich poczyniń, krytyki i t. p. w dziennikach. Świetne studjum o czasopiśmie literackich p. W. Kubackiego należy uzupełnić **literaturą w czasopiśmie**.

Idąc dalej po linii **objektywizacji** sądów i informacji, należałoby może, gdzie to jest istotne, wprowadzić szczegółowszy **prze-gląd treści** utworów — np. w dziale **pamiętników**, daty, nazwiska, miejscowości objęte **pamiętnikiem** podawać możliwie szczegółowiej. To byłaby nieoceniona pomoc dla przyszłych badaczy. Dla **powieści** wskazać nie sfery, daty, miejsca akcji ma znaczenie poważne.

Zycie literackie obecnie wykracza znacznie poza pracę i księgarnię. Byłoby ważnym dawać sprawozdania z **kongresów** gdzieś mo-wa o literaturze, z **instytucyj** takich jak Akademia Literatury, z **rozpraw** na terenie Akademii Umiejętności, z **dyskusyj** w związkach zawodowych i t. p.

Wreszcie co do literatury zagranicznej, to raz jeszcze zaznaczając, że **przekładom** należy się baczna opieka, i nie wyrzekając się bynajmniej doskonałych studiów o nich, jak np. p. Witolda Chwałewika o literaturze anglo-amerykańskiej, zwrócę uwagę na jeden brak w **Roczniku**.

Jako pendant do **Wystawy Książki Polskiej Zagranicą** z 1933 r. należałoby stworzyć rubrykę stałego przeglądu opinii krytycznej zagranicy o Polsce. Doskonale zestawienie bibliograficzne p. Piotra Grzegorzczaka, oczywiście będzie pęczniało z roku na rok w miarę jak Polska będzie zajmowała należne jej miejsce w każdej dziedzinie. Ale obok tej rubryki należy stworzyć inną, poświęconą **analizie ważniejszych sądów** zagranicy o Polsce i Polakach będzie przeglądowni **typu polskiego** w literaturach obcych. Materiał tu obfitszy niżby się zdawało, a zmiany w akcentach sympatii lub antypatii, rodzaj sam zainteresowań tym lub innym objawem życia polskiego bardzo charakterystyczne. Taki np. policyjny szpicel „Czpi-lewski”, fechtmistrz z Krakowa, wyprowadzony w powieści Malraux, bynajmniej nie jest zjawiskiem dziś w literaturze francuskiej odosobnionem i ma prototypy i współzawodników w innych powieściach. To sympotom, nad którym nie trzeba przechodzić do porządku dziennego bez komentarza. Nie należałoby może również pomijać polskich piór w zagranicznych pismach — ciekawe czy się odsłoniły informacje spod pseudonimów lub nawet anonimatu autorów... Ale to naturalnie jużby był materiał raczej luksusowy dla **Rocznika Literackiego**. Natomiast należałoby poddać ścisłej uwadze wydawnictwa **encyklopedyczne** i **pomoce naukowe** zagraniczne w działach o Polsce. To jest nawet pilne, bo dzieją się tam rzeczy wprost demoralizujące. Za Francją w każdym razie ręczę.

Streszczając uwagi powyższe raz jeszcze podkreślam nieoszacowaną usługę jaką „Rocznik Literacki” oddaje badaczom. Zastrzegam jednak: nawet tak świetne grono współpracowników, jakie się przy nim zgrupowało, nie może podołać zadaniu nie przestrzegając **rygoru metody**. Rygor ten przez **objektywne zestawienie** nie tylko własnych sądów, ale całej opinii krytycznej — wiedzy do poznania całej **twórczości** roku. To warunek **sine qua**. **Rocznik** obecnie obejmuje 390 stron — przypuszczam, że musi dobiec 500 by zestawić cały materiał t. j. książkę, artykuł, referat lub żywy dokument literacki tu i na obczyźnie składające obraz roku. **Obraz** twórczości, obraz krytyki, obraz czytelnictwa z silnem uwzględnieniem cyfry, treści, dat i osób, a nawet **właśnie polemik** roku. To będzie dokument nie zastąpionej wartości, tem cenniejszy, im **merytoryczny** punkt widzenia będzie dyskretniejszy, ustępując miejsca wszechstronnej, wyczerpującej **informacji** nawet o polemikach.

Literatura potrzebuje nie jeszcze jednej **cenzurki**, lecz odbijającego w całej postawie zwierciadła.

Zwracam uwagę redakcji **Rocznika**, tak dbalej o jego poziom naukowy na niezmierną — teoretyczną — doniosłość tej **metody**



objektywizowania i wyczerpywania faktycznego materiału krytyki.

Każdy z współpracowników *Rocznika* ma niewątpliwie sposobność wypisać się merytorycznie gdzieindziej. Tutaj niech będzie bezstronnym, wyczerpującym referentem opinii krytycznych danego momentu. Wiemy w jakim chaosie są obecne teorie historii literatury. Ale jedno jest pewnem: przyszłym historykom literatury należy przygotowywać materiał, zestawiać dokumenty atmosfery literackiej momentu. A cóż lepiej okazuje pierwszy odruch wywołany przez dzieło sztuki od sądów współczesnych? W nich właśnie ślady pierwszych kroków owych „wpływów”, których historyk szuka tak lakonie.

Na pierwszym kongresie historii literatury (Budapeszt 1931) przewodniczący prof. Baldensperger cieszył się, że obrady „spolarzowały” chaos różnic t. j. ułatwiły krystalizację zasadniczo sprzecznych stanowisk (estetycznego i socjalno-historycznego). Ale w podłożu wspólnem obu tych stanowisk jest jednak życie utworu w kolei lat i pokoleń. Krytyka tego życia jest świadkiem — i wyrazem, świadectwo to musi być powołane systematycznie i wedle możności wyczerpująco. Przyszły historyk musi być postawiony wobec takiej dyscypliny, któraby do minimum sprowadzała jego widzimisię. I tu ogromną usługę może oddać wydawnictwo typu *Rocznika* o ile samo zdobędzie się

na dyscyplinę obiektywnego referowania całej opinii krytycznej swego momentu.

Na sam ostatek odłożyłem jedną z najbardziej trudnych a jednak coraz natarczywiej domagających się rozwiązania kwestyj. Jakim jest w szczególności obszar t. zw. literatury? Wiemy, że oddawna już literatura nie pokrywa się z piśmiennictwem. Literatura już nie jest Biblią narodów i nie obejmuje nauki, techniki, dziejznawstwa, słownikarstwa i wielu innych jakże żywych działów słowa drukowanego....

Ale czy tak zupełne wyrzucenie poza nawias literatury zagadnień filozoficznych da się na stałe utrzymać? Skoro spotykamy się co moment z *credo* filozoficznym wyrażonym w pieśni, dramacie, powieści, skoro poróżniamy o te zagadnienia mówiąc o estetyce, teorii literatury, to czy jednak nie należałoby wprowadzić zarysu panujących doktryn filozoficznych do obrazu literatury?

Przecież jasną jest rzeczą, że Norwida, Brzozowskiego, ostatnich prac Leona Pomorskiego, J. N. Millera, Tadeusza Grabowskiego (wymieniam podług *Rocznika*) nie podobna ująć bez podstawy filozoficznej.

Czy tu nie jest czas by otworzyć szerszą dyskusję nad tą sprawą stosunku do filozofii w całokształcie życia literackiego tak bardzo obecnej? Mówię tu o stosunku formalnym, t. j. o wciągnięciu w taki roczny repertuar literatury dzieła filozofii. W przyszłości po-

częłoby to obowiązywać historyka literatury, jak i krytyka.

W okresie specjalizacji, t. j. separowania na „dzisiaj”, nierozdzielnie żyjących w nas potrzeb duchowych, słusznie wyłączono z literatury całe obszary badań i zaciękwień. Ale okres ten swoje zrobił: ustalił dyscyplinę. Dziś znowu życie robi swoje t. j. na gwałt domaga się pogłębienia i jedności sprawy duchowej. Należy poważnie zastanowić się nad wprowadzeniem studjum filozoficznego w obraz literatury. Sam zdrowy rozsądek nie wystarczy. Zresztą i ten konik jest także następstwem pewnej filozofii. Nie wystarczy zbywanie głodu podstaw sądenia, t. j. właśnie filozofii, coraz bardziej dotkliwego w chaosie komplikacji współczesnych, nie dbałym zarzutem niezrozumiałstwa czy zawilstwa. Bo w końcu nawet recepta na przeczyszczenie jest i niezrozumiałą i zawilżoną laika. Przechodzimy teraz przez okres pewnego werbalizmu naukowo-filozoficznego, jak np. studentka żądająca przy stole H<sub>2</sub>O zamiast wody. Ale to nieodzowny etap — wyjść z niego można jedynie przez pogłębienie myśli a nie przez baraszkowanie ze zdrowym rozsądkiem.

Filozofia musi wrócić do literatury, bo wstępuje dziś wszystkimi porami życia. Jak — tu właśnie mogą dopomóc próby kolejnych *Roczników*, czujnych na przeobrażenia myśli współczesnej, — poddanych dyscyplinie nawet surowej dyscyplinie pracy zawodowej.

## D'ANNUNZIO DO PŁYWAKÓW

Popolo d'Italia publikował orędzie Gabriele d'Annunzio, skierowane do podsekretarza stanu wychowania fizycznego a swego przyjaciela i towarzysza Renato Ricci z okazji mistrzostw narodowych w pływaniu i wiosłowaniu zorganizowanych przez Balilę. Niżej podany tekst orędzia był uzupełniony przez autora srebrnym pucharem i czterema złotymi bransoletami jako nagrodami. Oto pismo d'Annunzia:

„Najdroższy Renato, mój czynny i ceniony legionista z niedawnej przeszłości a być może i jutro jeszcze.

Sam wiesz jak kocham wodę miłością niemal fizyczną, ale i nie bez uczucia, o którym świadczy moja wytrwałość w wycinaniu, drukowaniu, rzeźbieniu we wszystkich moich znikomych siedzibach — włącznie z „Vittoriale des Italiens”, odtąd już na zawsze ostatniej — tych pierwszych wierszy z ód olimpijskich Pindara: „Woda rzecz boska”.

Ty równie dobrze wiesz jak ubóstwiałem wynosilem, wyznawałem szybkość; szczególnie w wodzie, która jest jej tak przeciwna. Nie wymieniając wszystkich środków, których próbowałem, aby przyspieszyć bieg statków motorowych, zadowolnię się przypomnieniem Ci mego trwałego zainteresowania dla zawodów wiosłarskich.

Dzisiaj nie ofiaruję odznak dla pływaków i nurków, przedewszystkiem dlatego, iż sądzę, że nie wypada wyróżniać nagrodami i pochwałami pływaków naszego kraju dla tej prostej według mnie przyczyny, że wszyscy Włosi winni być mistrzami w sztuce pływackiej, w kraju, który posiada tyle brzegów rzek i który otoczony jest przez tyle mórz.

Miałem dziewięć lat, gdy mój ojciec rzucił mnie z zieniaoka nagiego w wody Pescary z wierzchołka mostu.

Przesyłam tobie puchar przeznaczony dla zwycięskiej drużyny z czwórki, które wy nazywamy z nordycka „yolami”.

Do tego pucharu dodaję cztery złote bransolety składające się z ogniw łańcucha kotwicznego, sporządzonego z oczek sieci morskich, które dziesięciokrotnie a cudownie zwiększają siły wiosłarzy.

To są najświetniejsze amulety z „Vittoriale”.

A Tobie, mój drogi i wierny legionista, ofiarowuję lornetkę morską i złotego koguta, który zwiastuje i przyspiesza nasze Rano.

Słę od siebie pozdrowienia młodemu, którzy, będąc mocnymi, są jednocześnie walecznymi: memento audere semper!

Chciałbym ich widzieć i siebie im pokazać, gdybym nie był sam lupem haniebnej nieprawości.

Całuję Cię. Gabriele d'Annunzio.

## HENRYK DE MONTHERLANT

Henryk de Montherlant, powojenny pisarz, poeta francuski, jeden z najszczerzych bezpośrednich, jak to dzisiaj mówią, to znaczy taki, u którego każde słowo utworu drga wprost z całej napiętej tętnie i boleśnie struny duszy, autor paru książek, będących rodzajem hymnu dla piękna i czynów sportu (*Paradis à l'ombre des épées* i *Onze devant la porte dorée*), jednej, wskrzeszającej wizję poetycką wojny (*Songe*), jednej taumachicznej z własnej praktyki miłości (*ka-matadora (Bestiaires)*); jednej obyczajowej (*Célibataires*)<sup>o)</sup>; paru tomów namiętych i bolesnych poezyj i sporej ilości drobniejszych, zawsze ważkich, utworów, w niedawnej rozmowie z jednym z krytyków z *Revue de deux mondes* tak mówi o sobie:

„Tak jest, być może, w utworach, skreślonych dotychczas, jest jedna tylko osoba (t. j. ja). Jeżeli teraz tworzę inne, jeżeli mam teraz zamiłowania, których nie miałem, to jest to, mniemam, sprawa mego wieku. Przez ciąg 10 lat byłem Albanem de Bricoul (bohater z *Bestiaires*). Ale przyszedł czas, gdy cień mych 18 lat oddzielił się ode mnie. Ra dości jego i namiętności opuściły mnie. Gdy myślę o tem, mam wrażenie, że m zyl długo w zapóźnionej mej młodości. Wojna nie dała temu kresu. Była ona dla mnie podjęciem dobrowolnem, jakie powziąłem w charakte-

<sup>o)</sup> Nagroda tegoroczna Akademii.



Rys. Felino  
HENRYK de MONTHERLANT

rze ochotnika, z własnej mej tylko ochoty. Nigdy nie czułem na sobie ciężaru zobowiązania, jaki wiódł i trzymał w okopach mych towarzyszywo i bojów. Po wojnie sport przedłużył ten czas szczęśliwy. A potem przyjemność ta zagaśła we mnie — łaska opuściła mnie. Wówczas wielkie zniechęcenie nadeszło dla mnie. Podróżowałem. Szukałem wszędzie siebie i nigdzie nie znalazłem. Tym oto być może sposobem odkrywałem życie”.

### DOM ZAGROŻONY.

Niech przyjdzie, niech przyjdzie ta umiłowana do domu zagrożonego, gdzie trzasnął rewolwer, gdzie krew człowieka bluznęła.

Oczy me, jak oczy koni, patrzają jeszcze po stronach.

Oczy me błyszczą jak błyszczą rzeczy, błyszczą raz ostatni.

Usiądź, umiłowana, tam w pokoju jadalnym.

Niech trzymam w mych palcach sznur, wadło twego trzewika.

Niech wsunę palec między twój trzewik i twoją pończoszkę i niech go trzymam tam.

Umiłowana jest tem, obok czego się nie umiera.

A jeśli ma się umierać, niech się tu umiera, bo to u jej boku.

Niech się umiera, z rozwartemi szeroko, radującemi się nią, oczyma.

### POECI.

Kaząc podzwaniać swym lazurowym sądom.

ulecieli daleko od wojny.

Ale inni zostali, żeby wytaczać krew czystą.

O gustach i kolorach trudno jest stanowiąć.

### MATKA NOC.

Przez całą noc była jutrznia. Jasność nocy zbudziła mnie pośród nocy, nocy jak z innego wieku.

A ja jej mówiłem: „Matko Nocy, Matko Nocy,

powiedz mi, powiedz mi, i powiedz jemu również,

powiedz memu malemu bratu o słodkiem obliczu,

skąd pochodzi ta jasność twoja”.

Ma ręka zwiślała z łóżka.

Noc weszła i przykucnęła.

Czułem na mem ręku złożony jej pysk zimny.

Powiedziałem jej: „Matko Nocy, musi być ci zimno,

Wejść do naszego łóżka,

jest w niem miejsca dla trojga”.

Zatem śnieg padał zapomnienia,

Zapomnienia, zapomnienia, zapomnienia.

### WIERSZ BEZ TYTUŁU.

Kark jej nieco wklęśly. Jest błyszczący jak piasek.

Tam utopiłbym sztylet, gdybym chciał zabić ją.

Ale ja nie zabiję cię, najdroższa, nie zabiję cię.

— I ja cię też nie zabiję, — mówi mi umiłowana.

### WIERSZ BEZ TYTUŁU.

Ty ze swą słodyczą wstydliwą, i ja o ciebie żałuję siłą,

spaliłmy obok siebie, jak dwa węże pod tą samą korą:

dusza moja spała z tobą i kochała cię bez słowa.

Ty, tak mała, drużka wszystkich małych rzeczy ziemskich,

i ja, który, gdybym wznosił się do najwyższej ze sfer najwyższych,

czułbym się jeszcze w niewoli i chciałbym się wzniesić jeszcze wyżej,

byliśmy zmieszani ze sobą, jak brzeg i rzeka,

byliśmy zmieszani ze sobą, jak labędź i woda.

A teraz inni niż ja będą mogli pić u tej drżącej głowy.

Inni, jak wiatry zmówione, tchnąć będą na to ciało śpiące jak na wieś spokojną.

Inni ludzie wejdą w ciebie, ze swemi twarzami potępieńców:

Będę cię trzymał w ramionach, i będziesz w nich wiecznie bez ruchu.

Przełożył Józef Jankowski



JOSEPH CONRAD (Konrad Korzeniowski)

Przekład ANIELI ZAGÓRSKIEJ

ZWIERCIAŁO MORZA<sup>\*)</sup>

## U C H W Y T Ł Ą D U

XX

Trudno uwierzyć marynarzowi, aby jego wyrzucony na mieliznę statek nie był równie nieszczęśliwy w tym nienaturalnym położeniu — nie mając wody pod kilem — co on sam, marynarz, czujący że jego okręt wpadł na mieliznę.

Wyrzucenie na mieliznę jest zaiste przeciwieństwem zatonięcia. Morze nie zamyka się nad pełnym wody kadłubem, jaśniejąc w słońcu zmarszczkami, lub nie wymazuje statku z listy żyjących falą rozpedzoną gniewnie i kędzierzawą. Nie. To się tak dzieje, jakby niewidzialna dłoń podniosła się z dna cichaczem aby chwycić statek za kil sunący przez wodę.

Bardziej niż jakikolwiek inny wypadek „wyrzucenie na mieliznę” daje marynarzowi poczucie bezwzględnej i złowrożej przegranej. Bywają różne rodzaje wyrzucenia na brzeg, lecz powiem bez wahania że w dziewięćdziesięciu procentach marynarz — bez ubliżenia sobie — może doprawdy pragnąć śmierci w takim wypadku; i nie wątpię iż ci, co przeżyli chwilę zetknięcia się dna statku z gruntem, w dziewięćdziesięciu procentach życzyli sobie śmierci przez jakie pięć sekund.

„Wejście na mieliznę” jest technicznym określeniem dla statku, który osiadł na gruncie wśród spokojnych okoliczności. Ale właściwie wydaje się raczej że mielizna chwyciła statek. Ci co są na pokładzie doznają uczuć zdumiewających. Człowiek ma wrażenie iż nogi dostały się w nieuchwytny postrząsk; czuje że równowaga ciała jest zagrożona a spokój duszy przepada odrazu. To wrażenie trwa tylko sekundę, bo w tej samej chwili kiedy się człowiek zachwieje na nogach, coś jakby przewraca się w jego głowie, dobywając z głębi niemy okrzyk pełen zdumienia i zgrozy:

— Boże mój, wjechał na grunt!

I to jest straszliwe. Jedyne posłannictwo marynarskiego zawodu, to czuwanie aby statek nie dotknął kilem dna. Więc też chwila wejścia na mieliznę odbiera marynarzowi wszelkie usprawiedliwienie jego dalszej egzystencji. Do marynarza należy utrzymywanie

\*) Patrz nr. nr. 33, 34, 35, 36, 37 i 38 Pionu.

statku na wodzie; powierzono mu ten obowiązek; jest to zasadnicza formuła, tkwiąca na dnie wszystkich mglistych porywów, marzeń i złudzeń, które się składają na powołanie chłopca. Uchwyt łądu na kilu okrętu, nawet jeśli nie ma skutków gorszych niż zużycie taktielunku i strata czasu, zapada w pamięć marynarza niezatartym posmakiem łęski.

„Wyrzucenie na mieliznę” w ujęciu niniejszego artykułu jest błędem mniej lub więcej wytłumaczalnym. Okręt może być „wpedzony na brzeg” przez burzę. Jest to klęska, katastrofa. Natomiast w „wejściu na brzeg” tkwi małość, dotkliwość i gorycz ludzkiego błędu.

XXI

Dlatego właśnie wypadki „wyrzucenia na mieliznę” są przeważnie tak nieoczekiwane. W gruncie rzeczy są zawsze nieoczekiwane poza temi, które zwiastuje jakiś krótki prześwyt niebezpieczeństwa pełen niepokoju i podniecenia, podobny do ocknięcia się z szalonego snu.

Łąd wyrasta nagle nocą tuż nad przodem statku, lub może rozlega się okrzyk: „Kiepiel wprost przed dziobem!” — i jakaś długotrwała pomyłka, jakiś skomplikowany gmach — który powstał z oszukiwania samego siebie, zbyt ufności w swoje własne siły i fałszywym rozumowaniu — zapada się ze złowrogim wstrząsem w rozdzierającej chwili, gdy kil statku skrzypi i zgrzyta, sunąc po — dajmy na to — koralowej rafie. Ten dźwięk, chociaż względnie słaby, jest stokroć straszniejszy dla duszy marynarza niż huk zapadającego się świata, na który przyszedł nagły koniec. Lecz chaos mija, człowiek odzyskuje znów wiarę w swą ostrożność, swój rozsądek, i pyta siebie: „Gdzież się u licha znalazłem? Jakim sposobem u licha tu się dostałem?” — w przekonaniu że to się stało nie za jego sprawą, że jakieś tajemnicze okoliczności sprowadziły się na niego, że mapy są zupełnie fałszywe, a jeśli mapy nie są fałszywe, to łąd i morze zamieniły się na miejsca; że nie szczęście, które go spotkało, pozostanie zawsze niezrozumiałe, ponieważ był ciągle w świadomości swej misji, która była jego ostatnią myślą przed zamknięciem oczu i pierwszą po ich otwarciu, jakby dusza strzegła jej podczas godzin snu.

Rozpatrujemy w duchu swój pech, aż po-

trochu nastrój się zmienia, zimne zwątpienie przenika nas do szpiku kości i widzimy niepojęty fakt w innym świetle. Oto chwila, w której człowiek stawia sobie pytanie: „Jak mogłem być takim durkiem, żeby się tu dostać?” I gotowiśmy wyprzeć się wszelkiej wiary w swój rozsądek, w swoją wiedzę, w swoją wierność, w to co się dotychczas uważało za najlepsze swe cechy, co dawalo człowiekowi powszedni chleb i moralną podporę zaufania u ludzi.

Statek albo przepadnie albo też ocaleje. Gdy dostał się na mieliznę, musimy zrobić dla niego wszystko co tylko się da. Może ocaleć wskutek naszych wysiłków, naszej pomysłowości i siły moralnej przeciwstawiającej się dzielnie ciężkiemu brzemieniu winy i przegranej.

Wyrzucenie na mieliznę bywa niekiedy usprawiedliwione pośród mgły, na nieznanych morzach, na niebezpiecznych brzegach, wskutek zdradliwych prądów. Ale czy dowódca ocali statek czy też nie, pozostaje mu wyraźne poczucie straty, posmak istotnego, trwałego niebezpieczeństwa, które czyha we wszystkich formach ludzkiego życia. Człowiek może zyskać na tem uczuciu, może wyciągnąć z niego moralną korzyść, ale taki sam już nie będzie. Damokles ujrzał miecz zawieszony na włosie nad swoją głową; i choć dzielny człowiek nie straci na wartości wskutek takiego poczucia, uczta nie będzie dlań miała takiego samego smaku.

Przed laty służyłem jako pierwszy oficer na statku, który wpadł na mieliznę — co się jednak dobrze skończyło. Pracowaliśmy przez dziesięć godzin z rzędu, zawoząc kotwice, aby z ich pomocą ściągnąć przy wysokiej wodzie statek z mielizny. Krzątałem się wciąż po pokładach na dziobie, kiedy posłyszałem u swego boku stewarda:

— Pan kapitan się pyta, czyby pan porucznik nie przyszedł i nie zjadł czego, bo pan porucznik jeszcze dzisiaj nic nie jadł.

Wszedłem do kajuty. Mój kapitan siedział przy stole na pierwszym miejscu jak posąg. Wszystko było dziwnie nieruchome w tej ładnej kabinie. Wiszący stół, który przez siedemdziesiąt kilka dni stale się ruszał choć odrobinę, tkwił nieruchomo nad wazą. Nic nie byłoby mogło wpłynąć na żywą cerę mego dowódcy, wyzłoczoną hojnie przez słońce i morze; lecz jego łysina, nabiegła

zwykle krwią między dwiema kępkami jasnych włosów powyżej uszu, jaśniała martwą bielą jak kopuła z kości słoniowej. Wyglądał przytem dziwnie nieporządnie. Zauważyłem że się tego dnia nie ogolił; a jednak najszaleńsze miotanie się okrętu na szczególnie burzliwych szerokościach, któreśmy przebywali, nie przeszkadzało mu nigdy się golić, odkąd opuściliśmy kanał Angielski. Wiadomo już tak jest, że kapitan nie może się golić kiedy jego okręt dostał się na mieliznę. Dowodziłem wprowadzić statkami, ale nic o tem nie wiem; nigdy w życiu golić się nie próbowałem.

Kapitan nie częstował mnie i sam nic nie jadł, aż wreszcie kaszlnąłem znacząco kilka razy. W czasie obiadu poruszałem wesoło różne fachowe tematy i zakończyłem pełnem wiary twierdzeniem:

— Ściągniemy go przed północą, panie kapitanie.

Uśmiechnął się słabo, nie podnosząc oczu, i mruknął jakby do siebie:

— Tak, tak; kapitan wpedza statek na mieliznę, a my go ściągamy.

Podniósł głowę i natarł szorstko na stewarda, chudego, niespokojnego młodzika o długiej, bladej twarzy i dwóch wielkich przednich zębach.

— Dlaczego ta zupa taka gorzka? Dziwię się że pan porucznik może jeść to paskudztwo. Kucharz chlusnął chyba przez pomyłkę słonej wody do zupy.

To oskarżenie było takie oburzające, że steward za całą odpowiedź spuścił wstydliwie oczy.

Zupie nic nie brakowało. Nalałem sobie drugi talerz. Podnieciły mię te godziny ciężkiego trudu na czele chętej załogi. Byłem dumny że puściłem w ruch ciężkie kotwice, liny, łodzie i że mi to poszło gładko; byłem zadowolony że umieściłem według wszelkich prawideł kotwicę zawozową, zapasową i małą ściśle tam, gdzie przypuszczaliśmy że przyniosą najwięcej pożytku. W tym wypadku gorzki smak wejścia na mieliznę nie dla mnie był przeznaczony. Doświadczyłem tego później, i dopiero wówczas zrozumiałem osamotnienie człowieka, na którym ciąży odpowiedzialność.

To kapitan wpedza statek na mieliznę; to my go ściągamy.

D. c. n.

## „LEWJATANA”

Główną wartością artystyczną powieści<sup>\*)</sup> Juljana Greena jest — nie fabuła czy akcja jego książek — lecz ich aura, ów klimat fantastyczny będący podłożem losu jego postaci. Akcja „Lewjatana” pozostaje tylko rozwija się na prowincji francuskiej, gdyż całą swą spoiwość i wartość osiągnie dopiero wówczas gdy umieścimy ją w urojonym świecie, rządzone przez abstrakcyjne i wiodące ku zgubie siły — w świecie Juljana Greena.

Nie chodzi tu, broń Boże, o jakieś fantastyczne zjawiska czy religijankie morale. Autor ustrzegł się tej groźnej dla najlepszych nawet twórców, słabości. Chodzi o to, że świat bohaterów Greena, podobnie jak świat postaci powieściowych tworzonych przez twórców bardzo wielkich (np. Dostojewski, z którym jednak nie porównujemy) ma swe nieuchronne konsekwencje w dziedzinie metafizyki i etyki.

Zapewne, akcja „Lewjatana” ma swoje ekonomiczne czy geograficzne podłoże, a sprawy sądowe czy kronika wypadków oswoiły nas z wydarzeniami które dzieją się w tej książce. W rzeczywistości jednak toczy się ona jakgdyby na pograniczu przypadkowego świata rośliny codziennej i jakiejś sfery konfliktów nieodwołalnych.

W tej dopiero sferze zrozumiałym staje się tytuł książki i przyczynowość wewnętrzna jej postaci. Okazuje się wówczas, że to małe miasteczko nie leży w zaludnionych okolicach Paryża, lecz umiejscowione jest przez

\*) Juljan Green. Lewjatan. Powieść, przełożył L. Staff. Instytut Wydawniczy „Renaissance”, Warszawa - Poznań - Kraków - Lwów 1934, str. 296.

swego twórcę w jakiejś pustej przestrzeni, nieokreślonej dotąd na mapach, którą można dowolnie zapełniać nazwami bajecznych ludów czy fantastycznych potworów, jak starożytni geografowie czynili to z Afryką. To miasteczko leży na pograniczu naszego świata i tej „pustyni zachodniej” w której czai się groźny potwór, biblijny Lewjatan. „Aza będziesz mógł wyciągnąć Lewjatana wędka, a powrozem zwiędiesz język jego? Izali zawleczesz obrączkę przez nozdrza jego, albo tarczem przekolesz czelusz jego?” pyta Księga Hioba (40, 20, 21).

Bohaterowie powieści Greena, ten zwiędły i zgorzkniały Guéret, czy pani Grosgeorge nigdy nie przedrą się przez „czelusz potwora” swej namiętności. Nawet czas nie przyniesie im żadnej ulgi. Gdy czołowe powieści ostatnich lat kilkunastu (choćaby „Zaczarowana Góra” Manna czy dzieła Prousta) opisywały jak każde uczucie rozkłada się, gasnie i popieleje i że czas się zmienia i że my się w czasie zmieniamy, lekcja Greena jest odwrotna. Czas znieruchomiał i stanął dla zakochanego Guéreta, skoro „człowiek, który kocha, sprzedał swą duszę i daremnie nienawidzi chce wydrzeć miłości jej miejsce; aż do śmierci należymy do tych, których ukochaliśmy” jak mówi w „Lewjatanie” autor. Cóż wznosi się ponad czasem? Jest to silna wola czy niezłomna wierność uczucia?

W rozumieniu autora jest to jedynie fatalizm: „szalone prawa które rządzą życiem ludzi”. Bohaterowie powieści Greena są słabi. Ich decyzje są tylko monomanją, a uczucia psychozą. Drażni mnie właśnie to ciągle podkreślanie ich słabości. Te określenia swych postaci przez autora w rodzaju „słabe stwo-

renie”, „człowiek malej woli” czy inne? Po co to? To przecież widać w książce bez tych określeń...

W chwili gdy poznajemy go z pierwszych kart książki Guéret jest niewolnikiem swego uczucia. „Jego pokój o niskim suficie i wąskim oknie, restauracja pani Londe, pusta kawiarenka i willa pani Grosgeorge oto cztery główne punkty jego nowego życia. Istniały też ulice i drogi, ulice, któremi sunął trwożnie za tą kobietą i nocne drogi, na których rozmawiał z nią i błagał ją. Pozwalały mu przemierzać od końca do końca jego więzienie”.

Widzimy tu jak suggestywny lirycznie jest realizm Greena, nie wiemy jednak jak Guéret „człowiek malej woli” poznał Anielę. Jakie kolejne stadja przechodziła — aby użyć ukutego przez Stendhala terminu — krystalizacja tej miłosnej psychozy. Namiętność Guéreta ściga w żywej istocie ulicznej dziewczyny tylko majak swych uczuciowych urojeń, zatem nieuchronnie skazana jest na porażkę wobec rzeczywistości. Tembardziej jest Guéret okazywał swe uczucie w sposób, który skłoni ulegającą dotąd wszystkim dziewczynę do wrogięgo oporu. Dyktowane przez rozsądek próby łatwego zaspokojenia namiętności spełzną na niczem. Daremnie Guéret idąc u tartą już przez poprzednich kochanków dziewczynę drogą zbiera informacje, zamawia wolną niedzielę Anieli. Umowa nie dochodzi do skutku. Guéret włamuje się więc do niej w nocy, gwalci ją, wreszcie morduje przypadkowego świadka swej ucieczki. Ta bezużyteczna zbrodnia nie daje mu nic. Nie rozumie nawet później, co skłoniło go do działania wówczas. Zadając gwałt młodej dziewczynie

nie nasycił nawet swej żądzy. Został taki jak przedtem: rozkochany w sponiewieranej kobiecie i pełen przerażenia, że straci ją na zawsze.

Konstrukcja „Lewjatana” ma charakter dyptyku: dwukrotnie potwierdza tezę że nie ma życia dla tego, kto namiętność swoją ponad życie cudze czy własne przełożył. Guéret zginie bo zabił, pani Grosgeorge zabije się sama, bo gwałtowna i skryta jest również ofiarą fatalizmu.

W tych warunkach miłość do Guéreta stanie się jej ostatnią życiową rozgrywką. Chroni ściganego u siebie. Poznaje swą miłość w chwili, gdy nie może już mieć najsłabszej nadziei, by uczucie to pozwolić mu podzielać, lub przynajmniej odkryć. Jak Hermiona z „Andromaki” Racine’a powiadania szczęśliwą rywalkę, powoduje śmierć ukochanego i ginie.

Wymaga tego fatalizm istnienia „szalone prawa, które rządzą życiem” bohaterów wszystkich tragedii. Głuchota będzie zasłużoną karą niepokornie ciekawości pani Londe.

Tylko Anieli wolna jest od sidła Lewjatana namiętności. Wolna — lecz nie bezpieczna! Tej świadomej fatalistce obce są zatem wszelkie udręki psychiczne. Więc że w ciało wierzy jedynie, będzie skrzywdzona cielesnie.

Sądzę, że krytyka tej powieści przedstawiać może jedynie indywidualną reakcję na jej szkielet konstrukcyjny, jej schemat. Lecz powieść Greena nie jest schematem. Wzrusza, jest żywa. I w tem dopiero mieści się triumf jej twórcy.

Andrzej Pleśniewicz.



DEBIUTY

Zbigniew Folejewski. Dom w Górcach. Wilno 1934. z przedmową K. Czachowskiego. str. 24.

Skomplikowana gra sił i przesuwanie się napięć społeczno-politycznych, zróżniczkowanie procesów współczesnego życia, specjalizacja indywidualów, dążenia do wykrycia związków zależności w dziedzinie wszystkich zjawisk bytu, — całe to widowisko, jakie przedstawia świat współczesny, domaga się swego wyrazu uczuciowego. Jednym z naczelnych, programowych zadań t. zw. awangardowej poezji jest właśnie dążenie do sprostania wymogom teraźniejszości, ambicja stania się wyrazieliwą i uczuciową reprezentantką tego nowego, tworzącego się świata, a nawet ambicja jeszcze górniejsza — wpływanie na kształtowanie tego świata, tworzenie niejako wzorów przyszłościowych, antycypacja tej przyszłości. Jednak wbrew programowym hasłom kulturywania postawy aktywnej, organizującej, charakter tej poezji reportażowy, w sensie uczuciowo-odbiorczy, doświadczalny i przejściowy, jeśli chodzi o programy formalne, świadczyłby raczej o uleganiu wpływom nieuchwytnych prądów epoki, o bierności. Do antycypacji przyszłości brak jej jakiegś jednoczącej zasady, jasnego stanowiska któreby jej pozwoliło tę współczesność ocenić. Nie starając się bynajmniej obszerniej udokumentować tych uogólnień, chciałbym zwrócić uwagę na jedną cechę tej poezji, którąby dowodziła, że jest ona (poezja) nieodrodną córką chwili teraźniejszej.

Wyraz formalny jest świadectwem stosunku do rzeczywistości równie dobrem, jak uchwycenie tego stosunku w formuły pojęciowe. Nie chcę narazie zajmować się badaniem innych środków wyrazu, stosowanych i propagowanych przez poetów awangardowych, a zwracam uwagę tylko na eliptyczność wyrazu poetyckiego, tak rozpozszechnioną wśród owych poetów. Eliptycyzm, przemilczenia, są ważnym środkiem wyrazu poetyckiego, jeżeli nie nadużywane. Przeladanie eliptycznością jest manierą nie bardziej wartościową od innych. To nadużywanie eliptycyzmu przez wielu poetów awangardy nie daje się zakwalifikować jedynie jako objaw mody, czy manieri. Przyczyna może być inna, głębsza i ważniejsza. Moim zdaniem ta eliptyczność wyrazu jest najczęściej skutkiem niezorientowania się w rzeczywistości, skutkiem nieświadomości sobie wszystkich związków zależności. Jest to łatanie luk w obrazie świata z pomocą chwytu poetyckiego. Eliptycyzm wyraża często objaw głębszych przemysłów, a w gruncie rzeczy świadczą o bezradności autora wobec rzeczywistości, o nieumiejętności scałkowania w jakiś sposób swych przeżyć i wrażeń. Jeszcze jednym świadectwem tej słabości poetów awangardy może być rozbijanie utworów na szeregi obrazów, pozostających w luźnym ze sobą związku. Te drobne refleksje nasunęły mi się przy czytaniu tomiku wierszy debiutującego, młodego poety, Zbigniewa Folejewskiego (\*). Niepozbawione wpływów Czuchnowskiego, Czechowicza i Miłosza, wiersze te, przepojone rzetelnym i szczerym liryzmem, cechuje wartość wyrazu. Chwalna jest ta obawa przed przegadaniem się. Skutkiem eliptyczności jednak, właśnie w tym wypadku robi wrażenie, że autor stanął bezradnie wobec świata i usiłuje napróżno przeniknąć tajemnicę tego procesu, jaki zachodzi przed jego oczami. W kłębowisku stawiania się i przeplatania form gubi nici wiążące je. Pozytywne są u niego tylko postulaty — „Uwierzyć w prostotę świata — to mocno zapłonąć... i nadzieje na jakąś przyszłość, która wszystko uprości i rozjaśni. Niedopowiedzenia w rodzaju: „Ze. St. Jutro.“ — są już mocno wytarte i banalne. Nasi młodzi poeci nadużywają tego rodzaju przemilczeń o przyszłej rewolucji. Jednak ogólna linia lirycznych napięć ma potrzebny wdzięk i prostotę, jak i świeże obrazowanie. Można mieć nadzieję, że poeta da cenniejsze i dojrzałe próby swego talentu, skoro „uwierzy w świat, który stworzył“.

Nela Gajzlerówna. Szare wiersze. Warszawa 1934. Nakładem F. Hoesicka.

Nieodpowiedzialny, napuszony bezsens zestawień słownych i obrazowych cechuje te wierszyki. Autorka nie zdaje sobie do- brze sprawy z wartości znaczeniowej słów

i z zawartości wyobraźniowej bezmyślnie kleconych obrazów. W rezultacie powstają magmowate zlepki liryczne bez ładu i składu. Nadmiar złego szwankuje polszczyzna lub raczej gramatyka. Drobnym przykładem niech da świadectwo o wartości tej pretensjonalnej pisaniny.

Wiersz „Dziecko na placu“:

„Ono tropi gibkich ludzi,  
gdy po ciężkim placu suną;  
ptasie oczy ku nim mruży,  
ociekając parną tuną. —

Włos ma lichy, wydłużony,  
Włosów strzęp na kruchej skroni.  
Z ust maleńkich i skulonych  
leci krzyk, co kłótną zdzwoni.“

Wł. Sebyła.

Edmund Miller: „Fikcyjna postać“ — powieść.

Powieść E. Millera, utwór niewątpliwie uzdolnionego pisarza, padła ofiarą frazesu. Wszystkie jej, bardzo zresztą liczne braki biorą swój początek w niepospolitym przerosnięciu werbalnym. Wyrazy, zwroty i asocjacje, które zazwyczaj dla powieściopisarza są środkiem, tutaj stają się celem dla siebie. Treść owszem, jest także, ale pojawia się wtórną, drugoplanową, niejako z konieczności. Odnosimy wrażenie jakby cała rzeczywistość objęta tą książką realizowała się samodzielnie i mgliście w miarzę kolorowych, natrętnie efektywnych frazesów.

Ta pasja słowa rozszadająca autora nie została spożytkowana formalnie. Miller w sposób widoczny daje się ponieść fali słów, ponad wszystko przekłada błyskotliwą relację, nie cofa się nigdy przed doraźnym efektem narracyjnym. I dlatego, mimo że uprawia prozę wybitnie nastrojową, nie potrafi być sugestywny. Jego stylowi brak pauz, niedomówień, oszczędności wyrazu, brak istotnego przejścia się tem, co słowo dopiero ma objawiać czy zdemaskować, brak wreszcie śmielszej metaforyzacji. Proza Millera raczej sprawozdawcza niż dramatyczna jest przesłodzona i przechodzi w czarującą gądatliwość.

Powyższe uwagi nie ograniczają się do t. zw. języka czy też stylu powieści, ale rozszczać sobie pretensje do charakterystyki typu pisarza. Millerowi w kontakcie z ludźmi powieściowymi brakuje bezpośredniości. Inaczej mówiąc rzeczywistość pasjonuje go przede wszystkim w zakresie literackiej dyalektyki. Skupiając na niej całą uwagę autor nie zdołał wyeksploatować wybranego terenu zdarzeń, co się odbiło w pierwszym rzędzie na strukturze książki. Zadawałajac się dyalektyką Miller ani obserwacji nie natężył, ani nie wprawił w ruch całej skali środków artystycznych.

Weźmy dla przykładu fabułę. Normalnie t. zw. tok wydarzeń nastęrcza sposobność do demonstracji psychologicznych i obyczajowych, do „naświetleń“ i „przekrojów“. Fabuła „Postaci fikcyjnej“ jest właściwie dopowiedziana, incydent z miłością i teatrem ze względu na osobę główną obojętny, śmierć zaś Ariela schodzi do rzędu pośledniego epizodu zamiast być kulminacją uczuciową książki.

Czem to się dzieje? Otóż w sposobie kreowania Ariela dostrzegamy błąd zasadniczy i wymowny: pisarz demonstrując skrzywienia i spaczenia spowodowane ładajak załapywaną kulturą pseudoliteracką i pseudofilozoficzną; dając egzemplarz żalostnej manieri intelektualnej zagubił się w jej błyskotliwych pozorach. Pod grubą warstwą dyalektycznej szminki zginęło oblicze zbłąkanego i zdenerwowanego człowieka, który był za słaby, aby się wykopać z grząskiej zasy doktryn i teoryjek. Ariel stał się postacią fikcyjną pod krótkowzrocznym spojrzeniem pisarza. W tem miejscu przychodzimy do rozpoznania i oznaczenia owego kapitalnego błędu: człowiek pojęty jako fikcja, nie zdołał się ujawnić w realnym przebiegu zdarzeń i zmuszony został do jalowej vegetacji w wymiarze frazesu.

Aby zorientować czytelnika w tonie powieści, wyjmujemy z niej dwa znamienne ujęcia. Nie stanowią one żartobliwej parafrazy pewnego sposobu myślenia, nie są napiętnowaniem fałszywej postawy wobec życia. Świadczą raczej, że Miller utracił dystans rzeczowego obserwatora w stosunku do

przedstawianej rzeczywistości, że obcując z manierą poddał się jej urokowi.

„Ariel większą część dnia poświęcał obserwowaniu gołębiarzy i korespondencji urzędowej w biurze, tudzież kolekcjonowaniu fałszywych tonów katarzynki, które niebacznie zabłąkały się w trybach maszyn fabrycznych, konglomerował Ariel zapachy chlorku, kapusty i róż z warkotem propelerów i zdrośkami dewotek. Jazdę na karuzeli zarzucał niemal zupełnie“.

Gdzieindziej zaś „Mistrz nr. 1 był Bolesławem Śmiałym, który się przedzierzgnął w Spinozę, Dantonem, który sprzymierzył się z Ezechielem, Tomasz z Akwinu i Gariibaldi szli w nim o lepsze z Cagliostrem i Hussem. Mistrz nr. 2 składał się z mniej licznych wszelako również dobranego towarzystwa. Był to Epikur nacentkowany reformizmem, zbergsonizowany Abelard, poucządzający La place'a jak stać się Don Kichotem“.

Powtarzamy: to nie jest sarkastyczna stylizacja ani rodzaj wprowadzenia w atmosferę psychiczną. Zacytowany wyżej myślowy rytm książki rozciąga się na cały jej obszar. Usilna deformacja intelektualna przeżyć zrobiała z Ariela twór sztuczny i mimo pociągającej powierzchowności, spęczniały od blagi. Ponieważ Miller poprzestał na dyalektyce, powieści zabrakło architektury, rozsypała się na luźne fragmenty, a skądinąd ciekawy, jako problem i bądź co bądź żywy typ człowieka — obrócił w papierową fikcję dopiero w laboratorium pisarza.

Ludwik Świeżawski: „Miasto bez ojczyzny“. Nowele. Wyd. Młodej Prozy.

Poeta Świeżawski opublikował kilka opowiadań, które ukazały się w nakładzie „młodej prozy“. Zarówno osoba autora, wierszopisa, z natury swego talentu skłonnego do metafory, jakoteż — instytucja literacka wydająca książkę pozwalały się spodziewać ciekawszej próby formalnej. Tymczasem „Miasto bez Ojczyzny“ to kilka dość udanie skreślonych anegdotek, pozbawionych nie tylko pomysowości w wyborze tematu, ale także intensywniejszego wysiłku w zakresie techniki pisarskiej. Można by te opowiadania scharakteryzować jako przeciętne relacje z powszechnie znanych wydarzeń historycznych (porwanie Gertrudy Komorowskiej, przygody czarnoksiężnika Pinettiego). Dopiero w scenie śmierci Włocha Świeżawski zdobył się na kilka sugestywnych pociągnięć piórem. Magik, który wszystko potrafił przed oczyma oglupiałych ze zdumienia widzów, nie może sięgnąć po szklankę wody w godzinie choroby i samotności. Niemniej poza finałem opowiadania cała uwaga autora skupia się na fabule dość lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie eksploatowanej. Pinetti dokonywa cudów łatwych w książkowym sprawozdaniu, ale efektywnie czczych, bo pozbawionych umotywowania. Językowo proza Świeżawskiego nie wykracza poza poprawność. W sposobie opisu trudno pochwycić jakieś żywsze drgnięcie, ryzykowniejszą metaforę, słowem jeśli już nie szczęśliwe nowatorstwo to choćby dążenie do świeżości wyrazu. Nasuwa się pytanie jakby sobie autor poradził z treścią, bardziej przeciętną, mniej sensacyjną, której te wszystkie awantury nie mogłyby galwanizować, więc nadawać jej pozorów życia.

Świeżawski o swych sylwetkach historycznych wie nie więcej, niż to, co znalazł w odpowiedniej lekturze. Stąd prozie jego brak nasycenia szczegółami, jakie podsunąć może jedynie wyobraźnia beletrystyczna, choćby była poruszona z drugiej ręki — przez lekturę właśnie. „Miasto bez Ojczyzny“ to zręczne wycinanki historyczne, dowodzące wprawy stylistycznej, ale w żadnym razie nie nowy rytm, barwny język, sugestywny skrót — nieudolny choćby, ale ryzykowny i odkrywczy chwyt opisowy. Streszcza ją: ta proza nie jest młoda.

Z. Kucharski

„INFORMACJA PRASOWA POLSKA“

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej“, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9:41:53).

NOWELE  
OPPIDANISTYCZNE

Czesław Halicz. Ludzie którzy jeszcze żyją. Warszawa, 1934. Tow. Wyd. „Rój“.

Jako artystyczny motyw miasteczko nie odgrywa poważniejszej roli w naszej literaturze, najczęściej dostarczając jedynie materiału dla społecznej satyry; w stosunku doń przeważa tendencja dydaktyczna lub poprostu — zwłaszcza u debiutantów — chęć zgnębienia go za własną „górną i chmurną młodość“, która w jego skromnych ramach nie mogła zmieścić artystycznej wybujałości. Małomiasteczkowość stała się u nas stuprocentowym synonimem koltuństwa, załgania i innych siedmiu grzechów głównych przeciw duchowi nowożytności, tak jakby w urbanistycznych skupiskach wszystkie te wady nie dojrzały równie dorodnie, zwiększone jeszcze o ten pseudopostęp wielkomięski, z którym pod względem koltuństwa żadna Pipidówka nie może iść w paragon.

Ze stosunek do miasteczek i mięscin może być inny, o tem świadczy najlepiej literatura hiszpańska, w której kierunek oppidanistyczny szczyści się szeregiem pierwszorzędnych utworów i nazwisk z Azorinem, Gabrjelem Miro i Valle-Inclanem na czele. Co ci ludzie potrafili zrobić ze swoich brudnych i zanieczyszczonych pueblis, jakie perły poezji potrafili wydobyć spod śmiecia i walących się ruder! A równocześnie ta ich oppidanistyczna wizja mimo czy dzięki istic hiszpańskiemu, socyzystemu realizmowi jest tak potężna, że czytany turysta spogląda na rzeczywistość przez poetycką parafrazę „cantadores de la provincia“.

U nas stosunkowo rzadko zabłąka się ktoś w błotniste uliczki małej mięsciny, aby szukać piękna za oknami strzeżonymi przez fukse-ulanki, lub psychologicznych problemów w ubożuchnych duszyczkach, przydłoczonych drobną codzienną troską.

Szczególniejszą zaś trudność w ujmowaniu oppidanistycznych tematów zdaje się sprawić znalezienie dla nich nowożytnej formy, którą zarówno urbanisci jak i „ludowcy“ wzbili do tego stopnia, że nawet trzeciorzędny pisarz może sobie pozwolić na styl „up to date“.

Opowiadania p. Halicz, posiadają niewątpliwie dużo miłego sentymentu, „biorącego za serce“ czytelnika. Lecz równocześnie dziwnie żywo przypominają dobrze przed wojną wydany zbiór nowel dziesięciu autorów p. t. „Z jednego strumienia“. Na podobieństwo to wpływa nie tylko zaczerpnięcie tematów z tego samego środowiska: małomiasteczkowej ludności żydowskiej, lecz przede wszystkim faktura, pewne chwytliwe literackie, przypominające doskonałą wprawdzie, lecz dziś już staroświecką szkołę Orzeszkowej. Lecz przecięć i u autorki „Silnego Samsona“ spotykamy się z bardziej przekonywującym realizmem. Halicz tematy swe zanadto izoluje i stylizuje; osiągnięty w ten sposób efekt sprawia wrażenie trochę teatralne, tego scenicznego feeryzmu osiąganego zbyt łatwo odległością i reflektorem.

Usuwaając „szpetne“ motywy nietrudno uzyskać „ładny landszaft“, lecz mam wrażenie, że znacznie bardziej interesującym byłoby np. ukazanie nam estetycznej wartości gnójki, pozostawiając ją równocześnie w całej jej niewinnej rozciągłości. Tego kunsztu możeby warto nauczyć się od hiszpańskich oppidanistów.

S. Essmanowski

Co właściwie oznacza „Victor Hugo“?

Grupa młodych sportowców amerykańskich obiadowała, jak pisze New-Yorker, w pewnej eleganckiej restauracji w Baltimore. Wybierając potrawy natrafili w spisie na następującą pozycję: „Entrecôte minute à la Victor Hugo“. Jeden ze sportowców spytał kelnera co właściwie oznacza użyte wyrażenie „à la Victor Hugo“. Po chwili wahania kelner pobiegł do kuchni, skąd niebawem powrócił, wyjaśniając uprzejmie: „Victor Hugo, proszę szanownego pana, nie oznacza absolutnie nic“.



# NA SCENACH STOLICY

„Egipska pszenica” — sztuka w 3-ach aktach Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej na scenie Teatru Nowego. Reżyserował J. Warnecki. Dekoracje St. Jarockiego. (Dn. 28. 9. 1934 r.).

Pani Jasnorzewska, znakomita poetka, tak różna od innych poetów naszego pokolenia w tem szukaniu wyjścia poza tomik wierszy i dotarcia do form równie szlachetnych, a obliczonych na oddech szerszy, obdarzyła swą cenną sympatją teatr. Jej twórczość obfita atakowała teatr od lat już kilku, od pewnego czasu zajmując poważne stanowisko w jego repertuarze.

Wielkie zalety teatru Jasnorzewskiej, to subtelna faktura językowa dialogu i wielka ambicja stworzenia teatru oryginalnego, dalekiego od banalnych recept wykwalfikowanych dostawców teatralnych. Tylko, że śmiałość Jasnorzewskiej i jej nowatorstwo, zgodnie zresztą z duchem epoki, jest natury treścowej — w ramach realistycznego teatru francuskiego tworzyć chce nowe idee, dając przewagę idiom o charakterze społecznym, w ich zaś zakresie przedewszystkiem zagadnieniom obyczajowym. A zadanie swe podejmuje poetka nieco po apostołsku, nietylko bowiem pragnie demaskować i ujawniać, ale jeszcze i przekonywać i nauczać. Ze zaś ma wyraźną skłonność do doktryny, przeto nie występuje tylko w teatrze z argumentami zgodności z naturą, nietylko pragnie poglądy zakłamanie odkłamać, ale ponadto naturę częstokroć przezwyciężyć, zaapelować do dobrej i silnej woli człowieka, aby zerwał z swymi przyzwyczajeniami, nawet z instynktami, głęboko drżąciami w jego podświadomości.

Dlatego też tak ładnie i przyjemnie nakreślona sztuka jak „Zalotnicy niebiescy” razila jednak doktrynerstwem kobiety, która walczy przeciwko zazdrości. Nietylko demonstrując złe skutki tego przecież tak powszechnie potępianego uczucia, ale namawiając do zwalczania go w sobie. Niestety ten rodzaj są raczej analogją bólem, który go właściwie już dziś nie pragnie, i nikt nie wierzy, aby przez perswazję się było przed nim uchronić.

„Egipskiej pszenicy”, granej już przed trzema czy trzema laty z wielkiem powodzeniem na scenie Krakowskiej, intencja autorki jest podobna, ale teza słusniejsza i łatwiejsza do obronienia. Oczywiście, jeżeli za tezę tej sztuki uznamy sprawę odpowiedzialności za bezpłodność. Akcja „Egipskiej pszenicy” demaskująca bezpłodnego męża, który oskarżając o tę bezpłodność żonę, maltretował ją w imię instynktów rasy, przeprowadzona została konsekwentnie i przekonująco. Każdy mąż, który uważa swą żonę za przyczynę bezdzietności, musi po wysłuchaniu „Egipskiej pszenicy” przyjść do przekonania, że wina może również leżeć po jego stronie. Byłoby gorzej natomiast, gdyby sztuka Jasnorzewskiej miała ochotę „zasadniczo” bronić kobietę przed mężczyzną opanowanym przez żądzę posiadania dzieci. Autorka musiała obserwować zbliska przykre konsekwencje nadmiernej trzeźwości życiowej i ujemnych cech tego, co Rittner, zdaje się w „Wilkach w nocy”, nazwał „męzczyzną z zasadami”. Słabą bowiem stroną „Egipskiej pszenicy” jest przeczerpienie postaci inżyniera Krzeptowskiego, który w akcji pierwszym jest doprawdy nieznośnym i niebezpiecznym dla otoczenia fanatykiem, w trzecim zaś upartym głupcem, obstającym przy niedających się pogodzić przekonaniach. Ten akt trzeci zresztą broni się doskonale bólem Krzeptowskiego, którego od strony uczuć ojcowski autorka dostatecznie wzmocniła — natomiast pierwszy, zarysowany tak ładnie i interesująco, choruje silnie na przerost tonów czarnych i ponurych.

Na „Egipskiej pszenicy” widać również pracę i postęp poetki w opanowaniu techniki dramatycznej. Największe trudności sprawia autorce „Zalotników niebieskich” zobiektywizowanie głównej bohaterki kobiecej. Ta postać, która zawsze u Jasnorzewskiej jest postacią główną i poetce najbliższą, posiada jeszcze najwięcej cech anemicznych: to co Ruta Krzeptowska mówi o swoich tęsknotach i pragnieniach, to jej spokojne

i silne spoglądanie na słońce, przeświecające naprzód przez młody ogród wiosenny, a potem przez jesień dokwitającą na gałęziach, to godne jest autorki, która stworzyła tyle arcydzieł liryki kobiecej. Brak jednak u doktorowej z „Zalotników”, i jeszcze bardziej brak wcześniejszej Rucie z „Pszenicy” tych wielowymiarowych naświetleń, które człowieka z liryki przenoszą na deski sceny. Natomiast doskonała budowa postaci epizodycznych świadczy, że raczej nadmiar szczerości tylko stoi Jasnorzewskiej na zawadzie do uzyskania świetnych wyników, niż brak poczucia teatralnego.

Przedstawienie w Teatrze Nowym, odbiegające nieco w samym tekście i scenerii od przedstawienia krakowskiego (z Jaroszewską, Karbowskiem i Staszewskim) było dowodem wielkiej pieczołowitości reżyserkiej p. Warneckiego i pomysowości autora dekoracji — p. Jarockiego. Przeniesienie akcji aktu ostatniego z kliniki położniczej (w redakcji krakowskiej) do willi Krzeptowskich dokonało się bez zgrzytów i wykazalo racjonalność tej poprawki.

## CZYŻBY DLA DOBRA MOTORYZACJI?

Każdego, kto interesuje się zagadnieniem motoryzacji kraju, zastanowić musiała niejednokrotnie powódź najrozmaitszych notatek, a nawet artykułów, które ukazują się co pewien czas w różnych organach prasowych i dotyczą cen samochodów „zagranicą”.

„Samochód za 2000 zł.”, „Samochód za 1500 zł.”, „Samochód za 1000 zł.” — oto tytuły tych notatek.

Niema w tem żadnej przesady: tytuły i liczby są ściśle, na co mamy odpowiednie dowody w postaci wycinków z niektórych gazet.

Co mają tego rodzaju notatki na celu? — nie wiemy, orientujemy się jedynie w ich rezultatach: szerzą zamęt w opinii i zniechęcają szerszy ogół do ewentualnego nabycia samochodów.

Możliwe, że niejeden z czytelników przeczytawszy tego rodzaju notatkę powie sobie: za 1000 złotych samochód — może to i przesada, ale za 2000 zł. lub za 3000 zł. — to już bardziej prawdopodobne, bo „wiadomo przecież, że tylko w Polsce samochody są tak drogie, że i Polska to kraj najdroższych samochodów na świecie”. W ten sposób zaczyna sobie rozumować przeciętny czytelnik i wpada mu wówczas do ręki nie krótka notatka, lecz „fachowy” artykuł, naszpikowany tabelkami statystycznymi i t. d. „Za cenę jednego samochodu w Polsce można kupić w Ameryce najpiękniejszy 100-konny wóz, lub 2, 3 względnie 4 wozy tańszych marek”. Takie artykuły w prasie już były. Jutro można oczekiwać artykułów, w których już można będzie kupić nie 4, a 5 lub 6 wozów „zagranicą” (w Ameryce!) za cenę jednego wozu w Polsce...

Otóż tego rodzaju artykuły uważamy za wręcz szkodliwe gdyż szerzą zamęt i... niestety nie odpowiadają rzeczywistości stanowi rzeczy.

Po pierwsze musimy wyjaśnić sprawę cen samochodów w Ameryce. Autorzy artykułów pisząc o cenach samochodów w Ameryce, nie tylko nie uwzględniają specjalnych warunków amerykańskiego rynku samochodowego, ale w dodatku... opierają się na zupełnie mylnych pozycjach cen zamieszczanych w ogłoszeniach lub katalogach.

Autorzy tych „rewelacyjnych” danych o cenach samochodów w Ameryce nie wiedzą (lub może nie chcą wiedzieć!), że ceny w katalogach amerykańskich nie są cenami po których klient może ten samochód nabyć, gdyż:

1) ceny są podawane nie tylko loco fabryki, ale podane są jednocześnie bez tak zwanych „fabrycznych” kosztów ekspedycyjnych, które wynoszą np. przy najtańszej nawet klasie wozów, powyżej 20 dolarów.

2) Ceny są podawane bez całego szeregu części, które w europejskich stosunkach

Z wykonawców najtrudniejsze zadanie mieli odtwórcy ról głównych: p. Gorczyńska, która przeprowadziła Rutę przez wszystkie momenty jej melancholijnej egzystencji z dużą słodyczą, i p. Warnecki, który imponował techniką swego aktorstwa, przedzierzając się z człowieka w średnim wieku w starszego pana i uzyskując dla niego dużo prawdziwej siły i dramatycznej szczerości.

Znakomitą była p. Dulęba, jako impetyczna i apodyktyczna matka i babka, świetne epizody stworzyli pp. Buczyńska, stu procentowa pielęgniarka i Hajduga bardzo zabawny ogrodnik. Z dwu amantów — starszy, p. Brodniewicz, grał dyskretnie choć nieco bez przekonania, młodszy — p. Pośpiełowski miał tę szczerość, która stwarza nadzieję, że przy wyłożonej pracy może czasem osiągnąć doskonałe wyniki. Debjut p. Brzezińskiej w roli Karolci wyglądał jak występ nietylko zdolnej, lecz już doświadczony i obytej ze sceną aktorki.

są włączone do ceny katalogowej, jak na przykład zderzaki, gumy na koła zapasowe i t. p.

3) Przy kupnie doliczany jest specjalny podatek wynoszący 3% ceny maszyny.

4) Do ceny również doliczyć należy koszt transportu (niezależnie od kosztów „ekspedycji fabrycznej”) który dla każdego miasta w Ameryce jest inny.

Wszystkie te pozycje są dość poważne i w żadnym wypadku nie mogą być przy kalkulacji pominięte. Np. dla wozu marki Chevrolet kupionego w New Yorku, wynoszą (dla tamtejszego klienta) przeszło 20 procent ceny katalogowej wozu. A pomiędzy New Yorkiem, a Warszawą cena wozu, niezależnie już od stawek celnych „narosnie” jeszcze dość poważnie. Dojdą tu dodatkowe koszty transportu i koszty handlowe, związane ze sprzedażą, które przy ograniczonym rynku w Polsce, muszą być niepomierne wysokie dla każdej firmy samochodowej.

Wobec powyższego zainteresujemy się cenami wozów w państwach Europy zachodniej.

I widzimy wówczas, że sprawa naszych cen nie przedstawia się bynajmniej tak tragicznie jakby to chcieli widzieć niektórzy autorzy artykułów i notatek o samochodach po... 1000 zł!

Pamiętając, że produkcja krajowa wyszczupla obecnie wozy osobowe zasadniczo dwóch kategorii, to znaczy popularne Polskie Fiaty 508 w cenie ca 7200 zł. i droższe Polskie Fiaty 518 w cenie ca 13.900 zł., przekonamy się że ceny wozów w obu tych klasach nie odbiegają daleko od cen analogicznych wozów we Francji, Anglii, Belgii i t. p.

W państwach tych wóz odpowiadający (jako kategoria) polskiej 508-ke, kosztuje od 6570 do 6840. Odmownie wóz odpowiadający kategorii polskiej 518-ki, ceny wahają się od 11.190 zł. do 22.685!

Nie jest naszym zadaniem wyszczególniać cen poszczególnych wozów w obu klasach, gdyżby jednak czytelnik interesował się cenami poszczególnych wozów w tych kilku krajach, to możemy dla przykładu podać dokładnie, iż naprzykład Dodge we Francji kosztuje zł. 20.240.—, Studebaker w Hiszpanji 17.605 zł., Chrysler w Niemczech 22.545.— zł., Buick w Anglii 17.980 zł. Hupmobile we Francji 19.145 zł. Chevrolet we Francji 13.925 zł. i t. d.

A mimo to nikt tam nie bije na alarm, że ceny są zbyt wysokie i nie znajdujemy w tamtejszych dziennikach alarmujących artykułów że „zagranicą” są wozy po... 1000 zł.!

Warto się nad tem zastanowić! Czy alarmując opinię publiczną „rewelacyjnymi” cenami samochodów zagranicą oddajemy dobrą przysługę motoryzacji kraju?

Obawiamy się, że nie!

„Ludwik XI-ty”  
zach Kazimierz  
Teatru Narodowego.  
szewskiego. D  
rowskiego. D  
rockiego. (Dn.

„Ludwik XI-ty”  
był postacią historyczną...  
lą tylko. Cóż to bowiem...  
rym tak dużo wiemy z historii...  
dowiadujemy się z akcji dramatu?

Nie dowiadujemy się nic o państwie, którym włada ten władca: jakiemiś urwanymi fragmentami dochodzi do nas jego walka z księciem Burgundji, płacze się nam zagadnienie republikańskich Szwajcarów — ale na jakich ziemiach położył swoje ręce król Francuski, dlaczego drażni swego wasala burgundzkiego, czemu podstępnie pozbawia go dziedzictwa — o tem dramat milczy. Rzecz prosta, że nawet mglista znajomość historii zwiększa odrazu perspektywę dramatu — czuje się tu jakąś wielką robotę dziejową zbierania ziemi, utracania „królestw”, wzmacniania władzy królewskiej. Tylko że romantyczny Delavigne z roku 1832-ego stoi raczej po stronie księcia Burgudji i jakiejs „bliżej niewyjaśnionej koncepcji wolności i swobody — dlatego też jego Ludwik XI-ty nietylko jest krwiożerczy, chciwy i podstępny, ale również niesympatyczny z powodu braku idealnych pobudek swego działania: czujemy jego energję i dzielność, nie wiemy jednak, dla jakich celów i w imię jakich hasel energia ta wybucha i gubi wszystko dookoła.

Ale temat jest wspaniały. Na tle obyczajów surowych przedstawić człowieka, którego osobisty egoizm tak przylega do interesu państwowego, że stwarza postać prawdziwie historyczną. Historyczną, to znaczy swymi zaletami i wadami tak dopasowaną do momentu dziejowego, że wszystko składa się na jej wielkość. To mógłby uczynić wielkością talentu swego Szekspir — tego nie umiał uczynić Delavigne. Mimo, iż piękny wiersz p. Miłaszewskiego nadał „Ludwikowi XI-emu” jakiś szerszy oddech i drżnienie interesujące.

Nie jest dzieło Delavigne’a świetnym dramatem historycznym, ale jest świetną rolą, którą grywali chętnie najwięksi tragicy świata. Wykonał ją w Teatrze Narodowym p. Józef Węgrzyn, zapisując ją do najlepszych w swoim artystycznym dorobku. Zewnętrzne cechy starości, które aktor grający tę rolę musi odtworzyć w całym bogactwie szczegółów, odtworzył p. Węgrzyn z dużą ekspresją, nie pozbawiając jednak Ludwika wewnętrznej siły, stając się o wielkości tego człowieka. Ludwik Węgrzyn był nietylko podstępny i obłudnym starcem — był on ponadto siłą wiatalną, którą wiek i choroba co chwila powala i która zdaje się zawsze odradzać. Szczególnie moment przerzucenia się od pozornej zgody z Burgundczykiem do walki został zagrany przez p. Węgrzyna mistrzowsko — był w tej przemianie doskonale obliczony skok tygrysa, skok kierowany nieomylnym instynktem wodza i polityka.

Inscenizacja p. Borowskiego wyszła z założeń niewiary w nowoczesność samego utworu i rozbudowała go aż do trzynastu obrazów. Wyszło to niewątpliwie przedstawieniu na dobre, precyzja zaś w montowaniu wielkiego, nieco monachijskiego w kolorystyce, płótna historycznego wraz z pomysłowścią dekoracyjną i kostjumową p. Jarockiego złożyły się na przedstawienie nietylko interesujące, ale bodajże dysproporcjonalnie wspaniałe w stosunku do gatunku literackiego samego utworu.

Świetnie obsadzony zespół liczył przewanie samych doskonałych wykonawców — z tych najświetniej wyglądał p. Z. Chmielewski, nieco za słaby zresztą w ekspresji słownej. Najlepiej zaś grali pp. Lindorówna, Justjan, Wierciński, Dominiak, a przede wszystkim Roland, mężczyzący w środkach aktorskich z roli na rolę. Tylko p. Węgrierko, choć grał w stylu bardzo szlachetnym, nie był trafnie obsadzony: Węgrierko zawsze pogłębia rolę, co nie może wyjść na dobre takiemu rekwizytowi melodramatycznemu jak książę Nemours, wymagającemu poprostu wielkiej siły głosu i niepowsiętliwego gestu.

W. Z.



S P I K O W Y NA EKRANACH

VIVA VILLA  
(Kino Atlantic)

Wszystkiemu kongresowi w...  
tego, który teraz  
Krakowie powinien  
etyk, co jest teraz mo  
to nie jest, bo szary czło  
ulicy coraz mniej rozumie".  
(Wiad. Lit. Nr. 566 Kronika ty  
godniowa.)

Znowu nieśmiertelny szary człowiek! Szary człowiek idzie ciągle w górę. Dosięga prawie stratosfery mętnej, publicystycznej mistyki. Szarego człowieka wyrrywają sobie z rąk, stał się pożądany. Jesień — zaczynają się polowania na szaraki.

Ludzkiemu szarakowi teoretycznie wszystko jedno, czy będzie zjedzony w „szarym” sosie ideologicznym kronikarza „Wiadomości Literackich”, czy w innym. Szarak bowiem wogóle nie chce być zjedzony. Chce żyć. Wdzięczny jest za wszelką pomoc w rozeznaniu zła od dobra. Pełen ufności oddaje się w ręce sławnemu asowi, on, zwykła „blotka”. Człowiek-petit szuka prawdy, kryterjów moralności, u człowieka-garmonda. Pochyla się nad rocznikami „Wiadomości Literackich”, by znaleźć jakieś lekarstwo na chaos, by wybnąć z powszechnego zamieszania etycznego. Wóz albo przewóz. Albo — albo. Aut — aut.

Niestety wszystkie jego wysiłki idą „na aut”.

Widzi w „Wiadomościach Literackich” zażartą kampanję przeciw I. K. C., przeciw opisom mordów, rozbudzaniu najniższych instynktów. Padają słowa: obywatel, mandat, etyka. Czytelnik gotów się cieszyć jak pies Pawłowa, o którym mu takie ciekawe rzeczy opowiada Słonimski. Wnet się jednak przestaje radować, gdy napotyka wybitnie konkurencyjną pierwszą stronę w „Wiadomościach Literackich”, na której widnieją w trumnach tak urocze okazy, że aż się serce ścisnąć musiało z zazdrości samemu redaktorowi „Tajnego detektywa”, skoro przedmował te fotosy w swym macierzystym ikacowatym „Organie”. Albo gdy spostrzeże, że utwory literackie zdają się skupiać uwagę redakcji szczególnie wtedy, gdy za genęz mają conajmniej „Dwa morderstwa”, jak „Noc letnia” Krasieńskiego. (Nr. 564). Dowiaduje się, że największy poeta „Wiadomości Literackich” Julian Tuwim drukuje wiersze w tym okropnym I. K. C. Nie dobrze. Dowiaduje się dalej, że poeta zrywa wreszcie z I. K. C., ale tylko dlatego, że mu za mało zapłacili. To już gorzej. Nie chce uszom wierzyć, że środkowy filar „Wiadomości Literackich”, Boy-Zeleński, umieszca w I. K. C. recenzje teatralne, a jeden z mniejszych pilastrów, Hulka-Laskowski, pisuje artykuły do naukowo-literackiego dodatku I. K. C.

Wobec tego szary człowiek doznaje lekkiego zaćmienia, nie w takim stopniu przecież, by mu to przeszkodziło w odczytywaniu opryskliwości i zżymań się Słonimskiego na Tow. Rzewienia Kultury Teatralnej. Szary człowiek nie wie, co to jest takiego owo towarzystwo. On nie ma pieniędzy na chleb. Bezpłatnych bonów na widowisko nie da mu żadne towarzystwo. Dostanie je natomiast Słonimski. Szary człowiek wierzy asowi na słowo, że to jest instytucja z piekła rodem. Zaledwie wpisał sobie tę pozycję do biuletynu moralnego, alści pada nań grom: Słonimski chciał, by mu tam grano „Rodzinę”. Co jest? Szary prosty człowiek rozumiałby zemstę: nie chcieli mu grać, więc ich opisuje aż miło! Byłaby to jeno brzydka, bo brzydka, ale jakże ludzka ułomność. Szary człowiek nie potrafi natomiast pojąć zawilej sprawy zdrady wewnętrznej; potępiać, wygadywać na T. K. K. T. i pchać się do nich, by porwać worek srebrników, to za dużo na jego zdrowy rozsądek.

Inna Sodomia to Akademia Literatury. Trzęsą z oburzenia rękami redaktorki pi-

ma, którego czołowy pisarz najspokojniej siedzi na akademickim fotelu. Powiedźcie otwarcie, Słonimski, koło czy elipsa? Boy lubi zdecydowanie elipsy, bo mają wśród innych zalet dwa ogniska, tak, że można sobie raz zagrać rączki w „Wiadomościach Literackich”, a drugi raz w Akademji. Koło jest mniej wygodne, ponieważ posiada tylko jeden środek i to na dobitkę nawet nie antykonceptyjny.

Najwięcej dynamitu słowa podkłada Słonimski pod hitleryzm. On, człowiek, co tydzień groźnie potrząsający piłą, nie znosi pikelhauby. Denerwuje się, że Polska dotąd nie odwołała z Niemiec swych przedstawicieli dyplomatycznych. Wzywa bezustanku do bojkotu tej ohydy moralnej. Sam jednak nie zrywa umowy, dotyczącej przekładu swej podróży do Rosji Sowieckiej na język niemiecki. Zrywają Niemcy. I cóż dalej szary człowieku? Słonimski powinien się cieszyć, nieprawdaż, że pozbawi znieawidzonych hitlerowców rozkoszy czytania swych wrażeń z Rosji Sowieckiej? Otóż nie. Słonimski jest niepokieszony; gniewa się w jednej ze swych kronik, że szturmowcy są tacy niegrzeczni. Bojkot! bezwzględny bojkot! Ale oóbcie to wy. Ja wolę, by mnie ostatecznie te draby drukowały.

Szary człowiek ulicy coraz mniej rozumie. Coraz szybciej przerzuca roczniki „Wiadomości Literackich”. Tu doktryna św. Tomasa, a tam doktryna Krzywickiej. W jednym numerze atak na polski faszyzm, w drugim się sławi czyny Piłsudskiego. Tam mglisty rewolucjonizm, owdzie mieszczański zrozumiął zresztą strach przed przewrotem, który mógłby pozbawić człowieka... łazienki i telefonu. Szubienice i Galgenhumor. Wiły i Villony. Są psy Grydzewskiego i koty Krzywickiej. Wszystkie zagadnienia żyją tu właśnie jak pies z kotem. Jest śmierć (egzekucje), jest sąd (grodzki), jest niebo (Jeansa), jest piekło (kobiet). Słowem wszystkie cztery katechizmowe prawdy ostateczne, a brak podstawowej prawdy, co ostatecznie jest prawdą? Chyba to, co przysparza klientów tygodnikow.

Jest to typowa etyka fabrykantów bronii, etyka koniunkturalna. Kompletna moralna Wieża Babel! Cynizm polega na tem, że w otwarcie i szczerze eklektycznym piśmie ktoś się naraz zaczyna domagać od innych, a przedewszystkiem od fabrykantów bronii — stabilizacji zasad. Oczywiście, postaremu. Niech to zrobi ktoś inny, w tym wypadku państwo, gdyż mnie wygodniej pisać w chaosie pojęć i zasad moralnych. Chlubą „Wiadomości Literackich” jest eklektyzm. Zgoda. Każdemu wolno być eklektykiem, miętussem w dziedzinie t. zw. poglądu na świat, wolno nawet nazywać to swoje stanowisko „objektywizmem”. Ale kiedy eklektyk żąda rygoryzmu „jednostronnego” to doprawdy szary człowiek traci głowę. „Dekalog moralności powinien być przez państwo zmieniany na każdy sezon jak rozkład jazdy kolejowej”. Co za jasnok autoironja w ustach wytrawnych badaczy koniunktur literacko-oby-czajowo-kulturalnych!

Człowiek-petit został zwiedziony przez człowieka-garmonda. Cóż zresztą on „Kwa-

niak” (człowiek z ul. Kwaśnej 27a), mógł mieć wspólnego z kwaśnymi minkami „Królewiaków” (ludzi z ul. Królewskiej 13)? Myślał, że to tylko jarmark rymów, a to był także kiermasz sumień. Dla niego to nie był tylko wiatr w oczy; on dostał pięścią między oczy. Nie przypuszczał, że ludzie używają kursywy zależnie od kursu. Ludzono jego oczy rozwijaniem pięknych błamów etyki, wspanialej ogólnoludzkiej etyki, a potem się okazało, że to mizerne resztkówki etyczne. Myślał, że to wielka gra o ideały, a to była towarzyska gierka bez aty, gdzie najważniejsze są asy i gdzie szary człowiek zawsze dostaje w łeb, nie jak w wielu wierszach lirycznych pałą gumową, lecz jakimś asem, co zresztą na jedno wychodzi. Boy, Krzywicka, to asy kierowe. Słonimski to as-pik. Słonimski jest mistrzem w grze bez aty, bo jest asem i bo gra to najbrutalniejsza. Za wsze starszy młodszego, silniejszy słabszego morduje lub pakuje do obozów izolacyjnych. Obozy izolacyjne! Czy zastanawiali się kiedy czytelnicy, ilu namiłych, opornych pisarzy lub całych grup nawet potrafiły izolować i wyłaczyć z życia literackiego „Wiadomości Literackie” w ciągu dziesięciolecia swych faszystowskich rządów w literaturze polskiej? Przeciw temu niema odwołań do Penclubów ani do szarego człowieka.

Słonimski jest rasowym hitlerowcem pióra. As zdradza te same metody, które go rażą i oburzają u hitlerowców. Jest to metoda przemocy (as!), uogólnień i symplifikacji. Dla niego zbrodnia zaczyna się dopiero od gazu i tanków. Nie zna innego zła oprócz iperytu i hitleryzmu. Ustrój jest wtedy dobry, kiedy on ma dobry nastrój. Niech każdy robi, co mu każe duch boży. Ja piszę feljetyony przeciw tankom, a kryzys, nędzę, bezrobocie, niesprawiedliwość zostawiam wam. Walka o moralność w polityce tak mnie zaprzęta, że nie mam czasu się zastanawiać nad szarą moralnością życia codziennego. Podział pracy jest konieczny!

Hitlerowiec nienawidzi wszystkich nieryjczyków. Bez przebierań, wykrętów i dystrykcji. Zło się zaczyna od żyda, jak poprzednio się zaczynało od tanku. Słonimski nienawidzi ryczałtem wszystkich Niemców. Ilu wśród nich jest szarych ludzi coraz mniej rozumiejących lub zgola nic od samego początku nierozumiejących — nie pyta. Ilu ludzi, ludzi — bez względu na „szarosc” — nie bada. Nic go nie obchodzi, że przybywający do nas lotnicy i sportowcy, choćby najbardziej nawet nam wrodozy, stają się od granicy naszej — naszymi gośćmi. On rozumuje tak: wszyscy Niemcy na emigracji są aniołami, a wszyscy Niemcy w Vaterlandzie to dranie. Jest to rozumowanie coś ni-by według wzoru logicznego „barbara” i dlatego też traci barbarzyństwem. Publicysta ten dostał hysterji na temat niemczyzny. Nawet dźwięk mowy niemieckiej w ustach speakera polskiego radja przyprawia go o grymas. Publicysta ten nie rozumie, że to co on robi, nazywa się budzeniem bestji w człowieku, rozdmuchiowaniem i tak doś silnych nienawiści. Jemu to wolno. Polityków zaś chciałby oduczyć tego i nawet w tym celu wysłać wszystkich „tych panów” na międzynarodowy kongres moralności do Krakowa. Co myśli o tem dobry Wittlin? Czy także do Niemców ma się stosować stare barbarzyństwo starego Jehowy, co kładł po wielokroć w uszy Izraela następujące zasady: „wszystkich wytracisz, nie zachowasz żadnego” lub „a dziecię jego roztrącisz o opokę”?

Mechaniczna etyka nienawiści z paragrafami finansowemi — rozumiesz teraz szary człowieku? Tak się przedstawia lewa strona troski o etykę w polityce, sztandarowy humanitaryzm i liberalizm. Nic dziwnego. AS (Antoni Słonimski!) odwrócony na drugą stronę medalu daje S. A. (Sturm-Abteilung).

Veltro.

(c)

SKRADZIONO CZŁOWIEKA  
(Kino Majestic)

Kino Majestic wystąpiło na początek sezonu z komedią Eryka Pommera „Skradziono człowieka”. Eryk Pommer ma za sobą szereg udanych operetek i opinję dobrego handlowca, który docenia wartość sztuki w przemyśle. Nie potwierdza tej opinji film „Skradziono człowieka”, gdyż jest to dość nudna komedia o przygodach sentymentalnego bankiera, który za swoje finansowe sprawy dostaje się w ręce podejranej damy. Wynika stąd miłość. Być może, że takie idealizowanie brudnych macherek pieniężnych leży w czymś interesie, ale napewno nie w interesie widza, który nie znajdzie w tym filmie wielu okazji do śmiechu.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

Redakcja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19.

Administracja: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21.44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto. P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

R